

ŻYCIĘ

ROK XI NR 21 (518)

NIEDZIELA, 26 MAJA 1957.

Cena 1/6



PROGNOSTYK ASTROLOGICZNY MIKOŁAJA Z SZADKA (1532).

Układ sił niebieskich miał decydować — jak sądzono w średniowieczu — o ludzkich losach. Odzwierciedleniem tego poglądu jest zobrazowane na rycinie poddanie się siłom przyrody.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”, — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADDington 9734
Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.
Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Zycia”.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr. 1.000. Kolor. 100% drożej.
PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. Australia: „Spolem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; R. Treister, 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. Belgia: Mme E. Kulakowska, 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 130 frs. Brazylia: Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. Dania: Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Anne Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. Francja: Ks. K. Stolarek, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. Holandia: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. Kanada: Canadian Mosaic Publishers, Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; International Book Service, 57 Queen St. W., Toronto. Niemcy: St. Mikleluk, Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. Norwegia: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. Stany Zjedn.: „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; M. Kijowski, 380 North Av., Dunellen, N.J.; „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; S. J. Rozmysłowicz, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E”, Bayonne, N.J.; Veritas Americana, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 45, N.Y. Szwajcaria: Mme B. Glerszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.75 krs. Włochy: Mme Z. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 9.00 fr. Szwecja: Mgr. B. Bulhak-Jelska, via Salaria 300 C Roma.

SZYMON SYN JONY

wydanie drugie

Pierwsze wydanie tej pięknej książki ukazało się w Polsce w roku 1948 i rozeszło się w ciągu kilku miesięcy. Następnym wydań w Kraju nie było. „Veritas” podejmując drugie wydanie „Szymona, syna Jony”, spełni z pewnością życzenie wielu czytelników „Biblioteki Polskiej”, dla których ta książka była dotychczas niedostępna.

Termin subskrypcji upływa 31. 5. 1957 r.

Zamówienia przyjmuje:

Cena: szyl. 10/, dol. 1.50, fr. fr. 500.
Cena po upływie subskrypcji — 15/-.

„BIBLIOTEKA POLSKA”
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”
12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2. (ENGLAND)

JEŚLI LEKI TO Z APTEKI NOWOŚĆ! NYLONY

Bardzo trwale pończochy „TERYLYNE”, cienkie, elastyczne, 2 pary £ 1.00

POZA TYM
NA SKŁADZIE STAŁE MAMY:

Chustki krakowskie, chustki dziane, apaszki: rayon i nylon. — Taftę organdyne, voile nylonowe w wielu kolorach, oraz pierwszorzędne materiały wełniane, jak również włóczkę na swetry „EMU”, w rozmaitych grubościach i kolorach.

STRETCH SHEER — rozciągliwe, 2 pary £ 1.36

CREPE NYLON, b. elastyczne, grubsze, 2 pary £ 1.110

ozdobne z czarną piętą i szwem, 2 pary £ 1.10

SIATKOWE — 2 pary 60 Gauge 15 Denier £ 1.50

SIATKOWE — 2 pary OKAZJA — tylko jasny odcień £ 1.10 oraz inne 15 i 30 Denier w wielkim wyborze firmy „TUDOROSE”

ZAWSZE NIEZBĘDNE I ZAWSZE POTRZEBNE

SWETRY DAMSKIE (żakiety) „TOPTX” (fishermenknit), rozmiary: średni i większy. Kolory: granat, brąz, szary, niebieski, żółty, wiśniowy £ 2.10.

SWETRY DAMSKIE „TORTEX”, lżejsze, zapinane, z długim rękawem. Rozmiary: średni i większy. Kolory: czarny, zielony, wiśniowy, różowy i niebieski £ 2.00

JUMPRY (swetry pod szyję) z rękawami do łokcia. Rozmiary: średni i większy. Kolory: jak wyżej £ 1.10.

JUMPER + CARDIGAN tworzą tzw. TWIN SET.

Rozmiary i kolory — jak wyżej £ 3.10.

SWETRY MĘSKIE (Cardigan), zapinane. Rozmiary: średni i duży. Kolory: beż, szary, zielony i jasny granat £ 2.10.

BIELIŻNA DAMSKA „MORLEY” — wełna z nylonem, kolory: biały i różowy. Rozmiar średni i większy. Bardzo trwała i elegancka. Komplet: koszulka i majteczki £ 1.40

BIELIŻNA NYLONOWA — kolory: różowy i niebieski. (Piękne wykończenie.) Komplet £ 1.150

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA

M. B. GRABOWSKI

175 DRAYCOTT AVE., LONDON, S. W. 3.

TELEFON: KEN 0750 i 9656

LISTY DO REDAKCJI

NADZIEJE I TROSKI

Interesująco zaczęta w ZYCIU (nr 13 i 14) dyskusja o harcerstwie będzie miała niewątpliwie szeroki oddźwięk. Sprawa jest bardzo ważna. Znaczenie bowiem harcerstwa w życiu młodzieży polskiej, zarówno na emigracji jak w Kraju, jest obecnie głębsze niż przed wojną.

W Polsce niepodległej do harcerstwa garnęła się tylko część dzieci i młodzieży o specjalnym typie psychicznym. Przeważającej liczbie wystarczała szkoła, z jej licznymi organizacjami, jak kółka naukowe, kluby sportowe i dom rodzinny. Rodziny nie borykały się wtedy z tak wielkimi trudnościami jak obecnie i mogły na ogół łatwo zapewnić swym dzieciom życie towarzyskie, gry i zabawy w gromadzie, wycieczki i wyjazdy na wakacje. Na wsi zarówno ziemianskiej jak chłopskiej ruch harcerski był słaby. Toteż harcerstwo przed wojną nie wycisnęło na młodym pokoleniu tak wyraźnego piętna, jakie wywarło np. na młodzieży polskiej w Anglii. Tu łatwo odróżnić tych, którzy są lub byli w harcerstwie od tych, którzy z nim nigdy nie mieli nic wspólnego. Pierwszych cechuje swobodna i poprawna polszczyzna, łatwość obracania się w każdym polskim środowisku, pogodny i żywy styl życia. Drugi razą często na polskim tle przesadną „angielską” rezerwę, albo naiwnym zarozumiałstwem. Wszyscy znani mi młodzi, którzy biorą udział w polskim życiu społecznym to czynni lub byli harcerze.

Polskie i katolickie oblicze naszego harcerstwa jest tak oczywiste, że wydaje się nam całkowicie naturalne. A przecież nie wynika to bynajmniej z samych założeń skautingu, ani nie było łatwe do przeprowadzenia.

Rozważmy najpierw ów wyraźny katolicki charakter harcerstwa na emigracji. Zarliwość religijną harcerzy nie trudno zauważyć. Widzi się zawsze harcerzy i zuchów w pielgrzymkach i uroczystościach kościelnych. Na obozach, nim jeszcze staną namioty już młode ręce zbudują pod najpiękniejszym drzewem kapliczki, które swą prostotą i artystycznym przypominają tak wzruszająco świątki z polskich rozstajnych dróg. Dni obozowe zaczynają się i kończą modlitwą. Wiele dzieci z rodzin, niestety dość licznych wśród Polaków, które posyłają dzieci do szkół niekatolickich, a same są religijnie obojętne, zetknięto się na obozach po raz pierwszy z wiarą żywą, codzienną, przemawiającą do młodych dusz w sposób zrozumiały i piękny. Strach więc mnie ogarnia, gdy pomyślę, że gdyby pan Jędrzej Giertych uzyskał w swym czasie poparcie dla swego projektu utworzenia osobnej katolickiej organizacji harcerskiej, te liczne dzieci straciłyby jeszcze jedną i może jedyną okazję zetknięcia się z prawdziwą wiarą. Projekt rozbicia harcerstwa według wyznań nie znajdzie chyba nigdy poparcia ani wśród katolików, ani w innych kołach.

Katolicki charakter polskiego harcerstwa na emigracji został osiągnięty wbrew indyferentyzmowi religijnemu międzynarodowych władz skautingowych. Władzom tym narodowy charakter Związku Harcerstwa Polskiego jest także solą w oku. Od początku Anglicy patrzyli niechętnie na powstawanie odrębnej polskiej organizacji. „Chcecie być skautami? Prosimy bardzo, wstępujcie w nasze szeregi.” Instruktorów harcerskich nęcono obietnicami dobrych stanowisk i pomocy

materialnej. Mimo, że czujni obserwatorzy angielscy przyznają, że Polacy realizują dobrze program harcerski, nie dopuszczono ich do międzynarodowej organizacji skautingu.

Harcerswu na uchodźstwie zagroziła jeszcze jedna trudność, o której na ogół się milczy. Wiele osób patrzyło tak jak na stonki w harcerstwie w ostatnich latach przed wojną, z troską i niepokojem. Sanacja wywierała tam szkodliwy wpływ. Szereg zasłużonych działaczy (w ich rzędzie J. Giertych, B. Olizar) odsunięto od pracy jedynie ze względu na ich przekonania polityczne. Doszli do głosu działacze sanacyjni i ateizująca lewica. Tę strukturę oddziedziczyło ZHP na emigracji. Opieka moralna i finansowa kół wojskowych z jednej strony oddała harcerstwu niezaprzeczalne usługi, z drugiej strony wniosła tendencję do rocznicowo-akademijnego pyłkowego patriotyzmu.

Przez jedenastcie lat miałam ścisły kontakt z ZHP, zarówno przez me dzieci które od zuchów przeszły przez różne stopnie harcerstwa, jak też przez wieloletnią pracę w zarządzie Koła Przyjaciół Harcerstwa. Wiedziałam więc naocznie jak działały te trudności i jak zostały przezwyciężone.

Wszelkie usiłowania zaszczerpienia wśród młodzieży kultu kontrowersyjnych postaci czy legionowej ideologii spłynęły po niej bez śladu. Do głosu doszli młodzi działacze i instruktorzy, którzy rozumieją, że miłość do ojczyzny w młodych duszach budować można tylko na tym co łączy naród, a nie na tym co go dzieli.

Trudności, jakie napotka obecnie w Kraju odradzające się harcerstwo będą znacznie od tutejszych liczniejsze i groźniejsze. Nie da z niczym się porównać ofensywy komunizmu, który — jak słusznie podkreśla p. Jędrzej Giertych — wciąż trwa. Wojujące bezbożnictwo w obecnej Polsce jest liczebnie słabsze niż anglikanizm i inne herezje w Anglii, ale przez to, że jest rodzime jest bardziej niebezpieczne. Należy się także wdzięczność p. Giertychowi za wyraźne naszkicowanie sylwetki Andrzeja Kamińskiego, który ma stanąć na czele ZHP w Polsce. Istotnie wydaje się on być jak najmniej odpowiedzialną postacią do kierowania młodzieżą. Książka „Kamienie na szaniec” ze swą nieszczęsną ideologią stracenią wzbudza we mnie ostro sprzeciw.

Podzielam jednak w pełni ufność autora „Lilia i krzyż” i nadzieje, jakie tam wyraża w związku z próbą odbudowy harcerstwa w Kraju. Mamy na czym budować tę ufność i nadzieję. Przez długie lata stalinizmu młodzież polska w oparciu o domy rodzinne skutecznie broniła się przed naciskiem ideologii komunistycznej. Ideowe przewodnictwo Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nad harcerstwem wygląda złowrogo, ale — jak dotąd — młodzież żywiła głęboką nieufność do partii, a wierne przywiązanie do Kościoła. Słowo „Bóg” usunięte z prawa harcerskiego, ale czy je usuną z dusz młodzieży? A jeśli nie, harcerstwo polskie będzie takie, jakimi będą polscy harcerze.

Halina Wasutyńska

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

PASJONUJĄCA POWIEŚĆ ANN BRIDGE:

Postój w Budapeszcie

CENA: 15/-; dol. 2.50; fr. fr. 750.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”
12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2, ENGLAND

W SPRAWIE „NIEZGODNYCH Z RZECZYWISTOŚCIĄ” OGEN

Szanowny Panie Redaktorze!
Będąc autorem, niepodpisanego zresztą przez zapomnienie, artykułu „Lilia i krzyż” (ZYCIE, nr 13 z bież. roku), na który niezbyt miłą dla redakcji replikę napisał p. Jędrzej Giertych (ZYCIE, nr 17, artykuł pt. „W sprawie harcerstwa”) — zwracam się z uprzejmą prośbą o zamieszczenie kilku jeszcze uwag na ten sam temat.

I. Słusznie zauważa p. Giertych, że wyraziwszy zastrzeżenia dotyczące kompromisowych uchwał grudniowego zjazdu działaczy harcerskich w Warszawie oraz wątpliwości co do przyszłego oblicza ideowego tej organizacji, „w sumie ocenilem pozytywnie fakt wznowienia w pewnej formie działalności harcerstwa w Kraju”.

Nie zamierzam powtarzać tu argumentów mego artykułu o dużej i pożytecznej roli, jaką spełnić może w Polsce organizacja mająca zaufanie młodzieży i mogąca, choćby częściowo, przeciwstawić się demoralizacji i zdziżeniu znacznej części tej młodzieży.

Stosunkowo łatwo jest, tu na emigracji, potępić z góry każdą niekatolicką organizację powstającą w Kraju po latach stalinowskiego terronu. Trzeba jednak przy tym — jak słusznie pisze p. Giertych — „wiedzieć co się świeci” i „nie ludzić ogółu ocenami, które nie odpowiadają rzeczywistości”. Wiemy, że jak dotąd, reżym Gomułki przeciwstawił się kategorię odbudowie katolickich, sensu stricto, organizacji młodzieży. Albo więc wskreszone dzięki inicjatywie dawnych działaczy harcerstwo ostoi się, nie kładąc może chwilowo, największego nacisku na tak drogą niektórym polskim moralistom manifestacyjność katolickiego gestu, albo na placu pozostaną stworzone przez Gomułkę: Związek Młodzieży Socjalistycznej i Związek Młodzieży Wiejskiej — obydwą kierowane wyłącznie przez organy PZPR.

Mogę tylko powtórzyć to, co już napisałem: z coraz częstszych doniesień prasy krajowej widać, że wśród zespołów instruktorskich krajowego ZHP toczy się głucha walka ideologiczna, a zapewne i organizacyjna, pomiędzy katolikami i komunistami. Póki ta walka trwa i wynik jej jest niewiadomy, czy nie można przyjąć, że szlak harcerski w Kraju to może jedna z owych „dróg kamienistych, ale zawsze dróg”, jak to niedawno pisał p. Giertych w paryskich „Horyzontach”?

II. P. Giertych zaatakował ZYCIE za umieszczenie fotografii oraz wyjątku z książki Aleksandra Kamińskiego, niedawno wybrane-go w Kraju przewodniczącego Naczelnej Rady Harcerskiej. P. Giertych nazywa go „wyraźnym komunistą”, powołując się na 35-letnią znajomość. Ja p. Kamińskiego osobie nie znam, choć znam młodych bohaterów jego książki „Kamienie na szaniec”, którzy komunistami nie byli. Dlatego też chciałbym zapytać p. Giertycha, co znaczy określenie „wyraźny komunist”. Bo dla mnie, mimo dłuższego komentarza, jaki przydaje

DOBRA WOLA I PRZEZORNOŚĆ

Jesteśmy świadkami procesu scalania się Europy zachodniej w pewną całość, związaną wspólnymi interesami obronnymi, a co zatem idzie i gospodarczymi. Chcąc nie chcąc narody zagrożone niebezpieczeństwem komunistycznym musiały dla wspólnej obrony zapomnieć o dotychczasowych podziałach i pomyśleć o wspólnym interesie. Między kolo- sami amerykańskim i sowieckim tworzy się stopniowo nowy blok europejski, którego si- lę oblicza się na około 300 milionów ludzi. Wbrew złowieszczym krakanom o końcu pry- matu Europy w świecie, „stare kraje” dają przykład, jak można stłumić nacjonalistycz- ne wybujałości i na coraz to nowych płasz- czyznach podejmować międzynarodową współpracę.

Współpraca techniczno-gospodarcza naro- dów europejskich ujawniła się naocześnie za- ledwie przed kilku laty, gdy utworzono Wspólnotę Żelaza i Stali, obejmującą sześć najbardziej zainteresowanych państw. Te same państwa z czasem podjęły projekt wspólnego rynku europejskiego, którym o- statnio zainteresowała się wyspiarska Wielka Brytania. Już poprzednio między wieloma państwami zostały zniesione bariery pasz- portowe i celne. Między niektórymi sąsiadu- jącymi państwami Europy zachodniej istnie- ją umowy o wymianie energii elektrycznej, gdyż ich sieci są z sobą powiązane i wzajem- nie się uzupełniają. Ostatnim ważniejszym pociągnięciem w zakresie wymiany energii jest tak zwany Euratom, czyli porozumienie dotyczące wielkiej wspólnej puli energii ato- mowej, dla celów pokojowych.

Niezależnie od tej już bardzo wyraźnej współpracy na polu technicznym i gospodar- czym, mamy cały szereg pociągnięć ludzi do- brej woli, którzy nie zrażają się trudnościami zżyzdzając się o czas jakiś, aby dyskutowa- ć możliwości ściślejszej współpracy politycz- nej w obrębie wielkiej wspólnoty europej- skiej narodów, w której ostatecznie zostały by zniesione te wszystkie granice, które dzie- lą narody i państwa od siebie i uniemożli- wiają współżycie wolne od strachu przed no- wymi zatargami.

Na marginesie warto zaznaczyć, że dotych- czas celowo się od Europy izolująca Wielka Brytania w ostatnich czasach coraz częściej bierze udział w tych europejskich wspólno- tach gospodarczych i technicznych, a nawet i w ruchu strasburskim. Dwa ostatnie tego objawy — to wznowienie planu budowy tunelu pod Kanałem La Manche, łączącego wy- spę z kontynentem, oraz dyskusja nad wpro- wadzeniem dziesiętnego układu do miar i wag oraz do waluty angielskiej dla ułatwie- nia stosunków handlowych z resztą świata.

Jako chrześcijanie katolicy możemy się tylko cieszyć z tego rozwoju wypadków za- równo w Europie, jak i w całym świecie, i mamy obowiązek brać w tym jednoczeniu się czynny udział, ale nie możemy zamykać oczu na pewne niebezpieczeństwa i braki tego procesu. Zwrócić na nie uwagę Papież Pius XII, przemawiając do uczestników konferen- cji „Pax Romana”, która się niedawno odby- ła w Rzymie i w której między innymi wzię- li udział przybyli z Polski członkowie zespołu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego” z Krakowa. Oto Papież, podkreślając z uzna- niem zbliżenie i wielki postęp we wzajem- nych stosunkach ludzi na całym świecie na

polach materialnym, intelektualnym i spo- łecznym, zaznaczył zarazem, że wysiłki te mają zbyt techniczny charakter i że często towarzyszą im groźne polityczne czy militar- ne apeity takich nowych tworzących się bloków. Pius XII nie tał swej obawy, że „jedność, ku której świat zmierza tak olbrzy- mymi krokami, może się wyrodzić w przemoc- nowych potężnych grup, które będą usiłowały narzucić całej ludzkości swą hegemonię i swą ideologię”.

„Podstawą prawdziwej jedności, takiej, jakiej pragnie dla nas Stwórca, może być tyl- ko jedność wiary i miłości, wiążąca dusze i serca ludzkie” — przypomina Papież — i z tego każdy chrześcijanin biorący udział w tej unifikacji świata, dokonywującej się pod naciskiem zdarzeń, winien sobie dobrze zda- wać sprawę. Namiestnik Chrystusowy, wska- zując na wzór wszelkiego działania w duchu prawdziwej jedności, działania, którego wzor- em na zawsze pozostanie nasz Boski Nau- czyciel, nie rzuca tylko pięknych słów, ale zarazem wskazuje drugi i sposób postępo- wania. Jest on bowiem świadom tej wielkiej trudności, że katolicy działający w świecie muszą swój pogląd na ostateczny cel wszel- kiej międzynarodowej i społecznej współpra- cy ustawicznie godzić z faktem, że bardzo często ci, którzy do niej dążą lub ją realizują, nie uznają nawet podstaw tego chrześcijań- skiego poglądu.

Zadaniem katolika jest zatem przede wszy- stkim innym współpraca na tych polach, gdzie mogą się oni przyczynić do złagodze- nia cierpienia człowieka przez inicjatywy i działa charytatywne, przez starania o pod- niesienie jego niskiej stopy życiowej, przez tworzenie godnych człowieka materialnych ram życia. Na poziomie zaś wyższym współ- pracy międzynarodowej tam, gdzie już wy- stępują zagadnienia polityczne, stoi dla ka- tolików otworem ta cała dziedzina, w której — dzięki swej dobrej woli i bez szkodliwy- wych uprzedzeń — mogą oni przyczynić się do lepszego zrozumienia istoty wspólnego do- bra wszystkich narodów, do tworzenia takich wspólnych ruchów i instytucji, które bronią słusznych praw narodów, pamiętają o godno- ści człowieka, chronią godność rodziny i u- stalają słuszne granice przywilejów i autory- tetu władzy. Dlatego więc współpraca kato- lików jest wskazana i pożądana we wszyst- kich tych instytucjach, które w teorii i prak- tyce respektują zasady prawa naturalnego” — stwierdza Pius XII.

Zadaniem wielkiej współpracy międzyna- rodowej winno być dążenie do pozytywnego dobra, przyczynianie się do tego, aby wszy- scy ludzie mogli żyć pełniej i lepiej i łatwiej osiągnąć swe istotne cele. Jednostronny, bo jedynie materialny, techniczno-gospodarczy charakter tej współpracy sprzyjałby tworze- niu się wielkich i potężnych bloków, które rywalizując ze sobą zaczęłyby się zwalczać. Za- daniem katolików i wszystkich chrześcijań- biorących udział w jednoczącej narody pra- cy jest wyraźne dążenie do pozytywnego do- bra, służącego wszystkim ludziom, jest usu- wanie nie tylko strachu przed wojnami, ale i przyczyn, tkwiących w egoizmach także i blokowych. Jest również przezorna goto- wość do obrony człowieka przed wszystkim, co może grozić jego Bożym powołaniem.

J. Cz.

mu autor tego aktu oskarżenia, jest to okre- slenie właśnie bardzo niewyraźne.

III. Zgadzam się zupełnie z p. Gierty- chem, że lepiej jest zrobić rozłam w organi- zacji społecznej czy politycznej, do której się należy i której linia przestaje nam odpo- wiadać, niż potem mieć pretensje do siebie i innych, że się go nie zrobiło.

IV. Oczywiście, każdy może się pomylić w ocenie wypadków, zwłaszcza takich, których nie oglądał własnymi oczami. Przed paru miesiącami miałem w ręku wydaną w Lon- dynie broszurę, której autor z wielkim po- spiechem usiłował przekonać polskiego (i ob- cego) czytelnika, że właściwą sprężyną czer- wcowych wypadków poznańskich był nie bunt robotników i młodzieży przeciwko gło- dowym placom, fatalnym warunkom mieszkaniowym i terrorowi policji, ale inicjaty- wa tajnych organizacji kierowanych zapew- ne przez ośrodki emigracyjne.

Autorem tej broszury był p. Jędrzej Gier- tych. Teza jego nie znalazła potwierdzenia w dalszym rozwoju wydarzeń w Kraju. Nie podjął jej nawet komunistyczny proku- rator w procesach przychwyconych na udzia- le w zajściach poznańczyków.

Otóż przychodzi mi na myśl, czy z tymi „niebezpieczeństwami, grożącymi — zdaniem p. Giertycha — Kościołowi i religii w Polsce ze strony ludzi takich, jak autor „Kamieni na szaniec” — sprawa nie przedstawia się po- dobnie, jak z owymi emigracyjnymi agentu- ramy w Poznaniu.

Łączę wyrazy poważania

Maciej Cybulski
(Londyn)

LIST MIN. J. ZDZIECHOWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze!
Załączam przy niniejszym odpis mego listu do Pana Przewodniczącego Tymczasowej Ra- dy Jedności Narodowej i zobowiązany będę za opublikowanie jego treści.

Łączę wyrazy wysokiego poważania i szan- cunku

Jerzy Zdziechowski

Do
Pana Przewodniczącego
Tymczasowej Rady Jedności Narodo- wej
w Londynie

Szanowny Panie Prezesie,
Moje zainteresowania polityczne ześrodko- wują się głównie dokoła zagadnień związa- nych z ciężką sytuacją gospodarczą, w któ- rej się Polska znajduje. Sprawy te wybijają się obecnie na plan pierwszy, toteż jako eko- nomista mam zamiar dla lepszego zapozna- nia się z nimi udać się do Kraju na pewien okres czasu. Będę miał przy tym sposobność, wobec uczynionych mi propozycji, wygłosze- nia referatów i odczytów w paru ośrodkach naukowych, podzielić się rezultatami dłu- gotrwałej obserwacji przemian zachodzących w gospodarce świata Zachodu.

Pragnąc posiadać całkowitą swobodę po- stępowania, zgłaszam na ręce Pana Prezesa moje ustąpienie z Tymczasowej Rady Jed- ności Narodowej.

Proszę przyjąć, Panie Prezesie, wyrazy me- go wysokiego szacunku i poważania

Jerzy Zdziechowski

37 Argyll Road, London, W.8.



HARCERZE W POLSCE. Oddział Gru- dziądz-Południe korzystając z majowej, słonecznej, aczkolwiek zimnej niedzie- li, odbył wycieczkę za miasto i rozłożył się ob- zed nad jeziorem. (Listy do re- dakcji na str. 3 i 4 są dalszym ciągiem dyskusji podjętej w ŻYCIU nad zagad- nieniem obecnych zmian w organiza- cji harcerstwa w Polsce.)

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ŻYCIE KRAJU

Mylne wrażenie (czy katolicy w Pol- sce przyjęli system komunistyczny) Zapomniano o bezpieczeństwie człowieka Ankiety i dyskusje

ŻYCIE KATOLICKIE

Prymas Polski w Rzymie Tendencyjność

SPRAWY MIĘDZYNARODOWE

Chiny i pomoc sowiecka Od Saary do Kłajpedy Obrady w Strasburgu Ostatnie sensacje prasowe

POLACY W ŚWIECIE

Hallo! Tu mówi Brazylia

Str. 9 i 10 Komety — M. Paszkiewicz Kometa Arenda i Rolanda — T. Felszyn

Str. 21 i 22 Przyjaciel z innego wymiaru — Herminia Naglerowa

Str. 20 — Historycy emigracyjni o komunistycznej „Historii Polski”

Str. 4 — Punkty widzenia — J. Cz.

Str. 24 — Ludzie i zdarzenia

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XI — NR 21(518) LONDYN, NIEDZIELA, 26 MAJA 1957

ŻYCIE KRAJU

MYLNE WRAŻENIE

Publicyści i działacze katolicycy w Polsce wielozrotnie i przy różnych okazjach zade- klarowali swoje poparcie dla tego, co się zwykle określa jako „polską drogę do socjaliz- mu”. Tę deklarację i fakt poparcia przez katolików listy komunistycznego Frontu Jedności Narodu w wyborach styczniowych wywołują czasami wrażenie, że katolicy w Polsce, — a to oznacza przecież ogromną większość narodu — przyjęli „zreformowany” system komunistyczny i że wobec tego system ten panuje w Polsce zgodnie z wolą większo- ści narodu. Wrażenie to jest mylne. Wia- domo, że w Polsce nie było dotychczas i w obecnych warunkach przypuszczalnie nie może być wyboru między komunizmem a ja- kkolwiek niekomunistyczną formą rządów. Głosowanie rodziców za nauką religii w szko- łach można by traktować jako swego rodza- ju plebiscyt za lub przeciw komunizmowi. Jeśli to głosowanie ma takie znaczenie, to grubo ponad 90 procent ludności wypowie- działo się przeciw komunizmowi, bo, jak do- nosi komunistyczny tygodnik, „Po prostu”, tylko kilkanaście szkół w Warszawie i 10 szkół w innych miastach nie wprowadziło nauczania religii. Nie chcemy jednak wcho- dzić w to, czy tej „plebiscyt” należy tak in- terpretować i czy jest on miarodajny w tej sprawie.

Wracając do „socjalistycznych” deklaracji działaczy katolickich, trzeba najprzód za- znaczyć, że działacze ci nie są bynajmniej politycznie jednomyślni. Są wśród nich trzy odrębne grupy, a mianowicie: grupa skupia- jąca się około „Tygodnika Powszechnego”, i zjednoczona w klubie polskim „Znak”, druga grupa to Chrześcijański Związek Spo- łeczny (grupa J. Frankowskiego); trzecią grupę przedstawiają przywódcy Stowarzysze- nia „Pax”.

Katolicyzm nie jest poglądem politycznym i pozostawia swobodę działania polityczne- go. Katolicki poseł Stefan Kisielewski, kie- dy mu proponowano wstąpienie do „ogólno- katolickiego” klubu (Paxowskiego) odpowie- dział złośliwie, że nie da się na to namówić i że „prędzej wstąpi jako kleryk do PZPR (partii komunistycznej) niż do jakiegoś u- grupowania, które nie będzie ugrupowaniem politycznym nowym”...

By zrozumieć stosunek katolików polskich do „socjalizmu”, trzeba dokładniej zrzucieć co to słowo obecnie w Polsce oznacza. Do- poki żył Stalin „socjalizm” za żelazną kur- tyną posiadał ściśle określone znaczenie; praktycznie biorąc treść tamtejszego socja- lizmu stanowiły hasła i teorie Marksa sko- dyfikowane i zatwierdzone „niemylną” de- cyzją geniusza na Kremlu; wszystko, co się z tą decyzją nie zgadzało, było pravicowym lub lewicowym odchyleniem.

Dziś, gdy socjalizm zaczyna się na nowo traktować jako otwarty i żywy produkt ludz- kiego myślenia społecznego, treść tego pro- duktu zależy od tego, kto go tworzy. Gdy np. Gomułka, Chruszczow i poseł Stomma mówią o socjalizmie, to prawie na pewno nie mają tego samego na myśli. Socjalizm nie jest pojęciem jednoznacznym, a tym bardziej nie jest nim pojęcie „polskiej drogi do so- cjalizmu”. Wyrażenie to jest więcej zapo- wiedzią bliżej nieokreślonej przyszłości, niż określeniem czegoś konkretnego i gotowego. Ten fakt podkreślili członkowie grupy Chrześcijańskiego Związku Społecznego, wy- dający obecnie nowy tygodnik „Za i Prze- ciw”, którzy w swojej deklaracji ideowej o- świadczyli, że „wytworzoną dziś polską dro- gę do socjalizmu uznajemy za własną”. Gru- pa ta popiera umiarkowaną socjalizację śro- dów produkcji, sojusz z Rosją Sowiecką, świe- zo nabyte swobody życia religijnego i inne reformy zaprowadzone czy zapowiedziane od czasu przyjścia Gomułki do władzy. To wszy- stko uważają za polską drogę do socjalizmu i temu udzielają swego poparcia.

Prezes klubu posłów katolickich „Znak”, poseł Stanisław Stomma, w swym pierwszym przemówieniu sejmowym wyraził wprawdzie poparcie tej grupy dla rządu Cyrankiewicza, ale równocześnie oświadczył wyraźnie, że grupa ta pozostaje w dalszym ciągu w opo- zycji do komunizmu i podtrzymuje bez zmian ogólne założenia chrześcijańskiej nauki spo- łecznej.

Socjalizm, nawet w teorii, nie jest wcale pojęciem jednoznacznym, a socjalizm w praktyce — w określonej grupie rządzącej krajem — oznacza bardzo szeroki zakres za- rządzeń i czynności wynikających z samej natury administracji państwowej.

Każdy rząd, obojętnie czy socjalistyczny czy kapitalistyczny, musi zając się zapewnie- niem bezpieczeństwa, budowaniem dróg, szkół, podtrzymywaniem produkcji rolnej i przemysłowej i w ogóle tym wszystkim, co zawiera się w ramach „dobra publicznego”. Komuniści polscy lubią to wszystko określać słowem „budownictwa socjalistycznego”, ale faktycznie większość tych czynności obecnie ma niewiele wspólnego z socjalizmem czy jakimkolwiek „izmem”. W tych wszystkich poczynaniach, które są niezbędne do odbu- dowy i rozwoju życia państwowego, a zawie- rają bardzo mało elementów typowo socja- listycznych, katolicy dają obecnemu rządo- wi swe poparcie i swą współpracę, ale nie zmienia to wcale ich stosunku do systemu komunistycznego. Naród poparł Gomułkę za to, że pozwolił znieść kolchozy, wprowadzić naukę religii do szkół, za to że zlikwidował rażące bezprawia wobec Kościoła, za to, że zlikwidował Bezpiekę i brutalne wybrki ko-

munistycznych sądów, ale jeśli w poparciu tych reform dopatruje się ktoś poparcia dla systemu komunistycznego, to okazuje brak zrozumienia elementarnych faktów społecznych. System komunistyczny i partia komunistyczna są może w obecnych warunkach czymś nieuniknionym, ale mimo to katolicy polscy i ogromna większość narodu nadal uważa ten system za coś obcego i zasadniczo sprzecznego z charakterem narodowym i z prawdziwymi żywotnymi interesami narodu.

(I. C.)

AKTYWISCI — RELIGIA — HARCERZE

Niedawno odbyła się w Warszawie narada tzw. „aktywu partyjnego”, działająca na terenie Związku Harcerstwa Polskiego, w której wzięło udział około 200 osób. Tematem tej narady było zajęcie stanowiska wobec zmian dokonywujących się ostatnio w odradzającym się harcerstwie.

Przebieg obrad opisał „Trybuna Ludu” w artykule „Przeciw wstępnym tendencjom”, w którym na wstępie stwierdza, że zarówno w Chorągwi Warszawskiej jak i w pozostałych jednostkach harcerskich nie są w pełni realizowane uchwały zjazdu łódzkiego. Przede wszystkim — zdaniem organizatorów narady — należało przedyskutować kwestię świekości harcerstwa, ponieważ tu i ówdzie grupy instruktorów usiłują przekształcić harcerstwo w organizację o charakterze religijnym. A dzieje się to w ten sposób: „...niekiedy na zbiorach harcerze ze szkół podstawowych (rzekomo z własnej inicjatywy) proszą, aby nauczone ich harcerskiej... modliwy. Gdzie indziej znowu sami instruktorzy otwarcie występują z żądaniem wprowadzenia do „repertuaru” harcerskiego pieśni religijnych. Przy tym wszystkim wysuwa się argument, że tak właśnie powinna wyglądać... tolerancja w harcerstwie.”

„Czy można przyjąć tego rodzaju koncepcje — zapytuje „Trybuna Ludu” — i przytacza inne jeszcze zjawisko zaobserwowane często przez aktywistów. Poszczególne drużyny zmieniają dawne nazwy np. im. „Waryńskiego” lub „Róży Luksemburg” na „Zośkę” lub „Zawiszę Czarnego”. Czerwone chusty harcerskie zmieniają na dawne tradycyjne kolory. Daje się też zauważyć lekceważenie przez dzieci znaczą i sztandar przedpaździernikowej Organizacji Harcerskiej (OH). „Jest to — stwierdza „Trybuna Ludu” — wyraźna tendencja odrywania harcerstwa od tradycji rewolucyjnych i socjalistycznych.”

„Czy harcerstwo ma być samodzielną organizacją? — pyta komunistyczne pismo. — Jasne, że tak, ale trzeba sobie wyjaśnić, jak należy rozumieć tę samodzielną.” I tak, jeśli drużyna będzie chciała np. przeprowadzić alarm, to nie trzeba w tym celu pytać o zgodę sekretarza komitetu partyjnego. Ale kierunek wychowania młodzieży w harcerstwie i kontrola tego kierunku należą do partii.”

Ocena postawy ideowo-politycznej instruktorów dawniejszego ZHP jest sprawą bardzo skomplikowaną — pisze dalej „Trybuna Ludu”. Faktem jednak jest, że niektórzy z nich,

mimo formalnego uznania uchwał zjazdu łódzkiego, traktują je jako „tymczasowe” i starają się przemycić do harcerstwa tendencje wsteczne — „religianctwo” i tzw. apolityczność organizacji pod płaszczykiem tradycji i metodyki harcerskiej.

Po zakończeniu narady uczestnicy przyjęli kilka wniosków. Między innymi stwierdzono konieczność organizowania zespołów partyjnych przy komendach hufców. Zadaniem tych zespołów będzie realizowanie linii P. Z. P. R. w organizacji, pogłębianie wpływów i autorytetu partii wśród bezpartyjnych oraz dyskusje dotyczące najważniejszych problemów harcerstwa.

Artykuł „Trybuna Ludu” kończy się jednak smętnym stwierdzeniem, że przed zakończeniem obrad, tj. przed uchwaleniem wniosków, bodajże połowa uczestników opuściła salę obrad.

W. O.

ZAPOMNIANO O BEZPIECZEŃSTWIE CZŁOWIEKA

W dyskusji, jaka miała miejsce w czasie pierwszego zjazdu Związku Młodzieży Socjalistycznej (25-27 kwietnia 1957 r.) zabrał głos Jerzy Derejczyk z Wrocławia, który przedstawił zebranym wstrząsający obraz stosunków panujących w fabryce „Celwiskoza” w Jeleniej Górze, nazwanej przez robotników „kostnicą”. Derejczyk domagał się, by komisja rządowa przyjechała bezzwłocznie do fabryki i przekonała się na miejscu o prawdziwości przedstawionych przez niego faktów.

Jakie to fakty? Pisało o tym „Słowo Powszechne” z 19. 6. 1956 r., przedstawiając istotnie wstrząsający obraz bezpieczeństwa i higieny pracy w wielu przedsiębiorstwach państwowych. Między innymi znajdujemy tam taki opis:

„W Jeleniogórskiej ‘Celwiskozie’ zanotowano liczne wypadki zatruć dwusiarczkiem węgla. Dokonane na oddziałach pomiaru stężeń tego gazu w powietrzu wykazały 60-krotne przekroczenie dopuszczalnego stężenia. W ciągu ostatnich dwóch lat kilkadziesiąt (podkreślenie nasze) osób odwieziono w stanie szaleńca do szpitala. Znamienne, że ani kierownictwo zakładu, ani Rada Zakładowa nie posiadają pełnego wykazu osób, które przebywały w szpitalu.”

Tyle o „Celwiskozi”. O innych zaś przedsiębiorstwach pisze dalej „Słowo Powszechne”:

„W Z.P.A. Kędzierzyn sprężarki azotu i wodoru, pomimo że posiadają pęknięte głowice, pracują przy ciśnieniu 300 atmosfer. Ligocka wytwórnia gazów technicznych produkująca acetylen znajduje się w odległości 20 metrów od dworca... W Szczecińskich Z.W.Sz. na oddziale przedalniczym mimo szkodliwego działania dwusiarczka węgla, zatrudnionych jest około 500 kobiet.”

Pismo przechodzi następnie do cyfr absolutnych i ujawnia ilość wypadków nieszczęśliwych zanotowanych w przemyśle chemicznym. Tak np. w roku 1954 zanotowano 6,654 wypadki w tym 764 ciężkich. W roku 1955 ilość wypadków wzrosła, bowiem zanotowano już 6,844 wypadki, w tym 916 ciężkich, a lic-

by te nie obejmują chorób zawodowych. Karzący wprost brak troski o człowieka — pisze pismo — oto powód wzrastającej ciągle ilości wypadków nieszczęśliwych.

Kilka dni wcześniej, bo 15 czerwca, „Życie Warszawy” przyniosło podobny artykuł. Pod nagłówkiem „Wielka znieczulica w drobnym przemyśle” pismo przedstawiło nową listę przedsiębiorstw państwowych, w których w skandaliczny wprost sposób warunki bezpieczeństwa i higieny pracy zaniedbano. Tak np. w fabryce pilników w Skarżysku Kamienna dopuszczalne stężenie pyłu, w którym znajduje się ołów, przekroczone zostało 254 razy.

Kwaterna przy zwirowni w Bochni, zwana szumnie „hotelem robotniczym”, znajduje się w wilgotnej suterenie z cementową podłogą i naftowym oświetleniem, a robotnicy, z braku miejsca, śpią po dwóch na jednym łóżku. W wielu cegielniach województwa białostockiego i rzeszowskiego glinę rozrabia się bosymi nogami.

W zakładach metalowych w Zagwizdzu pracownicy jedzą posiłki siedząc na podłodze, z braku stołów i ławek. W Swidzickiej fabryce mebli i w Jeleniogórskich zakładach przemysłu terenowego, kobiety i młodociane zatrudnione wbrew przepisom w warunkach szkodliwych dla zdrowia np. w klejarniach.

Wytwórnia wafli w Rzeszowie podległa rzeszowskiemu zakładom przemysłu terenowego mieściła się w piwnicy, do której przez okna wpadały kurz i śmiecie uliczne.

Oto kilka przykładów, podanych przez dwa tylko pisma, które są jaskrawym dowodem jak małą wagę przykładają władze reżymowe do warunków bezpieczeństwa i higieny pracy, jak obojętny im był w rzeczywistości los klasy pracującej. A jak wygląda troska o młodych ludzi, których płatni agenci rekrutują do pracy w kopalniach objętych województwa rolnicze? „Trybuna Wolności” z 23 września 1956 podała oto taki opis, przedstawiony przez jednego z kandydatów na górnika:

„Po załatwieniu formalności w biurze kopalni polecono nam pójść do „hotelu górniczego”. Były to stare baraki, otoczone drutem kolczastym, nazwane bombastycznie „hotelem górniczym”, z których dopiero niedawno wypuszczono więźniów. Nie było tam ani szaf, ani krzesel, łóżka były zniszczone i brudne, nie było wody. Zamiast czystej pościeli dano nam brudne, podarte koce, pozostawione przez więźniów. Nie dano nam ręczników, a pierwszy przydział mydła mieliśmy otrzymać dopiero po 3 miesiącach pracy. Jedzenie było marne. Musieliśmy używać własnych łyżek i widelcy — noże były tam nieznane. Nie było ani świetlicy ani gazet ani biblioteki. To był „hotel górniczy”. Opuściliśmy kopalnię już po kilku dniach.”

Tak więc wyglądała opieka nad młodym górnikiem, który wracał do „hotelu” po 8-10 godzinnej, ciężkiej pracy w kopalni. Fakty podane muszą być prawdziwe, bo „Trybuna Wolności”, pismo Centralnego Komitetu, podała, że reportaż podała ze spóźnieniem, bo postanowiono wprawdzie zbadać fakty na miejscu i że niestety okazały się one prawdziwe.

Kto odpowiada za ten skandaliczny stan bezpieczeństwa i higieny pracy, zarówno w samych pracy jak i „hotelach robotniczych”? Nie ulega wątpliwości, że odpowiedzialność ponoszą poszczególne resorty ministerialne, zainteresowane tylko w produkcji, a nie interesujące się, w jakich warunkach produkcja się odbywa. Nie są to jednak czynniki wyłącznie ponoszące odpowiedzialność. Ponoszą ją przede wszystkim tzw. związki zawodowe. W statucie uchwalonym na III zjeździe

(5-19 maja 1954 r.) roi się od postanowień związanych z troską o robotnika, wiele się mówi o obowiązkach związków zawodowych w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy. To przecież związki zawodowe powinny nadzorować bezpieczeństwo i higienę pracy i dbać o ścisłe przestrzeganie ustawodawstwa pracy w szczególności jeśli chodzi o kobiety i młodocianych. One to przecież przedstawiają projekty ustaw i rozporządzeń z tej dziedziny.

W ustawie o umowach zbiorowych z 6 lutego 1954 roku powiedziano, że robotnicy zobowiązują się do wypełnienia planu produkcyjnego, zaś pracodawca, tj. rząd obiecuje stworzyć im jak najlepsze warunki bezpieczeństwa i higieny pracy, klasa pracująca zobowiązanie spełniła — pracodawca, jak wynika z przytoczonych artykułów prasowych, nie wywiązał się ze swoich przyrzeczeń. Wystarczy dodać, że tylko w dziewięciu zakładach przemysłu państwowego ilość wypadków nieszczęśliwych w roku 1955 osiągnęła przerażającą cyfrę 130.000, w tym 1.200 śmiertelnych.

Z końcem kwietnia bież. roku nowowabrany sejm zebrał się na posiedzenie budżetowe. Około 80 posłów brało udział w dyskusji, z których ani jeden nie poruszył tak strasliwie zaniedbanej dziedziny. Nie poruszył jej ani Loga-Sowiński, nowy prezes centralnej rady związków zawodowych, ani prezes związku zawodowego górników Wit-Hanke który tylko pochwalił górników za zwiększoną produkcję i bolął nad zmniejszonym eksportem węgla. Zapomnieli o bezpieczeństwie pracy najbardziej kompetentni ludzie i trzeba było dopiero młodego Derejczyka, który na zjeździe ZMS przypomniał odpowiedzialnym czynnikom „kostnicę” w jeleniogórskiej „Celwiskozie”.

Żadna sytuacja gospodarcza na to nie pozwala. Czynniki rządowe tłumaczą się obojętnością przy każdej sposobności ciężką sytuacją gospodarczą. Jak to pojmują szary człowiek, o tym świadczy najlepiej artykuł w „Głosie Pracy” z 27/28 kwietnia br. Czytamy tam takie oto słowa:

„Jesteśmy w ciężkiej sytuacji gospodarczej — mówią ci i tamci kierownicy — więc nie stać nas na inwestycje zwiększające bezpieczeństwo pracy. Hasło gotowe, rzecz odfajkowana, myślenie żędne. Po prostu skreśla się fundusze na budowę urządzeń osłaniających, na wentylację itp. Dopiero kiedy ilość wypadków przy pracy wzrasta w ciągu roku (jak np. w zielonogórskim przemyśle włókienniczym z 5.590 do 6.515 — zaczynamy bić w wielki dzwon troski o człowieka — melancholijnie stwierdzając, że popełniony został drobny błąd w wielkim dziele naprawy.”

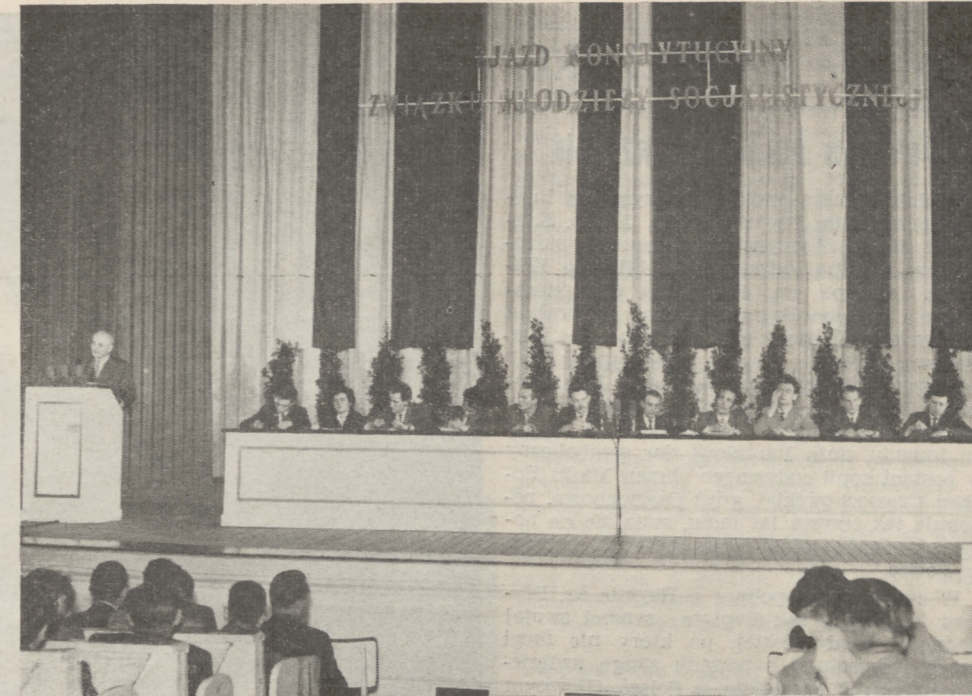
W. O.

DYSKUSJE I ANKIETY

Dyskusje o kulturze oraz rozmaite ankiety na tematy zaczerpnięte z różnych jej dziedzin (ankieta teatralna, wydawnicza, pedagogiczna) są dziś w krajowej prasie literackiej i innej zjawiskiem tak częstym i tak dużo zajmującym miejsca, że staje się to po prostu nużące. W tej powodzi sprzecznych ze sobą głosów, których jedyną cechą wspólną jest gwałtowne poszukiwanie oryginalności, udaje się jednak czasem złowić wypowiedzi bardziej rzeczowe, i interesujące.

W łódzkim dwutygodniku „Kronika” (nr 9/49, 1-15 maja br.) ktoś, kto podpisuje się kryptonimem „Kronikarz”, tak m. in. pisze o „Prostym człowieku i kulturze”:

„W naszej polityce kulturalnej, jeżeli w ogóle można z czystym sumieniem o niej mówić, dokonaliśmy ostatnio ważnego odkry-



Władysław Gomułka przemawia na zjeździe konstytucyjnym Związku Młodzieży Socjalistycznej, który odbył się 25 kwietnia w Warszawie przy udziale 754 delegatów reprezentujących 60 tysięcy członków tego Związku

cia. Oto świat ma cztery strony, a nie tylko jedną, jak nas do niedawna uczono. To trafne odkrycie przyniosło już pewne sukcesy — na półkach księgarskich pojawiają się książki świadczące o tym, że w każdej części świata znaleźć można utalentowanych pisarzy. Pod tym względem panuje całkowita decentralizacja. Istnieje współczesny teatr europejski, doskonały balet ludowy brazylijski, ciekawe filmy angielskie, pieśniarze paryscy, świetne zespoły jazzowe w Stanach Zjednoczonych. Słuszny zwrot w naszej polityce kulturalnej unaocznili wszystkim przy okazji, że nie samymi sprzecznościami żyje kapitalizm.”

Stwierdziwszy, że na tym jednak kończy się chyba krajowy optymizm i załobnienie, „Kronkarz” przechodzi do smutnych raczej prawd krajowej rzeczywistości:

„...Cóż wiele mówić, czar prysł, rozwiły się legendy o kraju, który przeszedł zwycięsko rewolucję kulturalną, posiada najbardziej po Anglii gęstą sieć bibliotek na świecie. Jak mówił pewien działacz, przeniesiony z aparatu skupu do „kultury” — pogłowie czytelnictwa wyraźnie spała. Prócz smakoszów nikt już prawie nie czyta poezji. Poezję wydaje się w nakładach 500 i nawet 300 egzemplarzy, niektóre wydawnictwa gotowe są wydawać wiersze na koszt... autorów. Tysiące świetlic zamkniętych na kołach, powolna śmierć ruchu amatorskiego, powrotna fala analfabetyzmu, masowa kradzież mienia społecznego, wyraźne przejawy demoralizacji młodzieży — taka to sama prawda o sytuacji kulturalnej kraju, jak i ta, że wielu ludzi zachwyca się przez wystawową szybką pięknoscą naszych wydawnictw...”

Przypomniawszy mimochodem czasy, „kiedy męczono czytelnika rawelacjami w rodzaju: literatura piękna po to tylko powstała, aby mobilizować do walki z kułakiem, podżegaczem, stonką, o wyższą wydajność, sprawne przedterminowe podorywyki na przekór imperialistom...”, co oczywiście musiało czytelników zniechęcić do książki — „Kronikarz” łóżki dochodzi do wniosków rozsądnych i praktycznych: „...Każda rozsądna ak-

cja społeczna musi realnie, bez błagi uwzględnić stopę życiową, sytuację materialną ludzi. Stan ekonomiczny — jak uczy marksizm — warunkuje w decydującym stopniu życie duchowe, kulturalne narodu. Nie jest to stwierdzenie radosne, jeśli odnieść je do naszego położenia, ale stwierdzenie konieczne. Jeśli zamierzamy naszą politykę kulturalną opierać na zdrowych przesłankach”.

LOS MŁODYCH DZIENNIKARZY

Przed paru tygodniami rozeszła się w Kraju wiadomość o zamierzonej likwidacji Wydziału Dziennikarskiego przy Uniwersytecie Warszawskim. Przy okazji społeczeństwo dowiedziało się, że na 140 absolwentów tego wydziału, zaledwie jedna osoba otrzymała pracę w zawodzie dziennikarskim.

WYSTAWY I KIERMASZE KSIĄŻKI

Z okazji tzw. Dni Oświaty, Książki i Prasy odbywają się w wielu miastach polskich imprezy mające na celu upowszechnienie czytelnictwa. Między innymi w Bydgoszczy „Dni” rozpoczął „sejmik kultury”. Uczestnicy, miejscowi literaci, bibliotekarze, plastycy, dziennikarze i aktorzy — jak donosi „Życie Warszawy” z 6 bm. — przez wiele godzin dyskutowali z czytelnikami i publicznością.

W Warszawie otwarto 4 maja wystawę angielskiej książki naukowej, zorganizowaną przez „Ośrodek Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych” PAN. Wystawa obejmuje około 2 tysiące najnowszych pozycji ze wszystkich dziedzin nauki, ze szczególnym uwzględnieniem językoznawstwa, a więc słowniki, leksykony, encyklopedie itd. Książki nadesłali najpoważniejsi wydawcy brytyjscy, specjalizujący się w publikacjach o charakterze naukowym: Oxford University Press, Longman-Green, Butterworth, Livingston Press i inne.

Ośrodek przy PAN uzyskał ostatnio generalne przedstawicielstwo wydawnictw U. N. E. S. C. O. na Polskę. Z początkiem drugiego półrocza wydawnictwa te będąc można w Polsce nabywać za pośrednictwem agend Ośrodka.

CZY ZŁOŻYŁEŚ W MIESIĄCU MAJU

OFIARĘ NA DAR NARODOWY 3 MAJA?

POLSKA MACIERZ SZKOLNA

55 PRINCES GATE, LONDON, S.W.7

ŻYCIE KATOLICKIE

PRYMAS POLSKI W RZYMIE

W dniu 8 maja przybył do Rzymu ad limina Apostolorum Prymas Polski, J. Em. Kardynał Stefan Wyszyński, w otoczeniu sufraganów: biskupa łódzkiego, dr. Michała Klepacza, biskupa dr. Zygmunta Choromańskiego i biskupa Baraniaka oraz ks. prałata Władysława Kulczyckiego i ks. kanonika Władysława Padacza. B skupi polscy przyjechali do Rzymu nie tylko jako delegaci Episkopatu w Polsce, ale także jako przedstawiciele całego społeczeństwa katolickiego, w którego imieniu złożył Papieżowi dar symboliczny w postaci kopii cudownego obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, gdyż Częstochowa, podobnie jak trzysta lat temu, stała się na nowo ośrodkiem odnowienia życia duchowego w Polsce.

W czasie swego pobytu w Rzymie ks. Prymas otrzyma z rąk Papieża symbol swojej godności kardynalskiej, po który nie mógł przybyć wcześniej z powodu swego uwięzienia i znanych wypadków w Polsce. Głównym jednak celem tej tykrotnie odkładanej podróży jest nawiązanie osobistego kontaktu między Głową Kościoła w Polsce a Głową Kościoła Powszechnego. Wysuwane są przypuszczenia, iż Prymas Polski załatwi w Rzymie sprawę nominacji nowych arcybiskupów i biskupów w Polsce, a przede wszystkim przedstawi Ojcu Świętemu i omówi z nim szczegółowo sytuację Kościoła w Polsce ze specjalnym uwzględnieniem dość skomplikowanych stosunków między Kościołem i Państwem, które przez swoją wyjątkowość stanowią dla ludzi poza Polską trudną do rozwiązania zagadkę.

Prasa w Polsce przypisuje wizycie kardynała Wyszyńskiego w Rzymie szerokie międzynarodowe znaczenie, przypuszczając słusznie czy niesłusznie, że jeśli obecne formy współżycia Kościoła i Państwa komunistycznego uzyskają aprobatę Stolicy Apostolskiej, może to pomóc do ułożenia stosunków kościelnych również i w innych, rządzonych przez komunistów, krajach Europy środkowo-wschodniej.

Na Zachodzie, wizyta Prymasa w Rzymie, omawiana jest w wielu najpoważniejszych pismach, nie mówiąc o reporterskich notatkach z tej podróży, których jest pełno w prasie razem ze zdjęciami fotograficznymi i portretami Kardynała. Nie będziemy tu powtarzali za prasą codzienną opisów przebiegu podróży Kardynała, oważy na dworcach stacji włoskich na cześć pierwszego jadącego do Rzymu kardynała z za żelaznej kurtyny i przedstawicieli Kościoła katolickiego w Polsce, który, mimo przesładowań nie ugiął się przed bezbożnictwem. Czytelnicy ŻYCIA znają już także szczegóły powitania na stacji w Rzymie, gdzie na dworcu i przed dworcem zgromadziło się około 2.000 księży i zakonnic, przedstawiciele kościelni i świeccy, reprezentanci polskich organizacji i Polonii w Rzymie, dzieci w strojach ludowych z kwiatami, wycieczka architektów z Polski i mnóstwo Włochów. Wiemy, że m. in. ks. Arcybiskup



Prymas Polski w otoczeniu delegatów Episkopatu na jednej ze stacji włoskich odpowiada błogosławiącym gestem ręki na powitalne owacje tłumów

Gawlińca witał w gorących słowach Prymasa, że Prymas odjeżdżając ze stacji zaznaczył, że pragnie odbyć z arcybiskupem, opiekunem uchodźców, jak najprędzej rozmowę. I to również już jest wszystkim wiadome, że Dostojny Gość zamieszkał w klasztorze sióstr nazaretanek, gdzie może nie tak łatwo go dosięgnie ciekawość reporterów.

9 maja przed południem odbyła się rozmowa z arcybiskupem Gawlińcą i trwała 2 godziny, po południu zaś była kontynuowana, gdy Jego Eminencja odwiedził Arcybiskupa w jego rezydencji przy polskim kościele w Rzymie. Obecni byli również i brali udział w rozmowie biskupi: Klepacz, Choromański i Baraniak.

W sobotę 11 maja odbyła się rozmowa Prymasa z dziekanem kolegium kardynalskiego, Eugeniuszem Tisserant, z polecenia Papieża wydział protokolarny wyznaczył jednego z prałatów watykańskich, ks. Antonio Caratta, by towarzyszył Prymasowi we wszystkich ceremoniach kościelnych, a w szczególności w uroczystościach, jakie odbyły się 13 maja z okazji 40-lecia sakry biskupiej Piusa XII.

We wtorek, 14 maja, Ojciec Święty, w swojej prywatnej bibliotece, przyjął na dość długiej, bo trwającej przez 50 minut audiencji, Swego wiernego Syna, Prymasa Polski, Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Według oświadczeń kół watykańskich było to powitanie szczególnie serdeczne i wzruszające.

TENDENCYJNOŚĆ

Pod powyższym tytułem tygodnik watykański „Osservatore Romano della Domenica” w numerze z 12 maja zamieścił obszerny artykuł podpisany przez Federico Alessandrini. Artykuł jest odpowiedzią na zarzut postawiony przez jeden z tygodników wychodzących w Rzymie, jakoby następowało „zbliżenie najwyższych hierarchii Kościoła do socjalizmu demokratycznego”.

Dla nas, Polaków, szczególnie ciekawa jest druga część tego artykułu i dlatego podajemy ją tutaj w tłumaczeniu.

„Periodyk, o którym mówimy, pisze w pew-

nym punkcie: »...Uścisk, jaki w najbliższych dniach Pius XII da Kardynałowi Wyszyńskiemu, będzie uznaniem nie tylko dla stającego heroicznie opór przeciw totalitaryzmowi stalinowskiemu; ale także dla układu osiągniętego przez Kardynała w celu współpracy (collaborazione) sił socjalistycznych i katolickich w Polsce...«

„Nie potrzeba mówić, że chodzi tu o stwierdzenie tendencyjne. Kto napisał te słowa, wyraźnie ma lek przed wymienieniem komunizmu i mówi o stalinizmie i o »socjalizmie«, wiedząc przecież, że rządzący Polską pozostają gorliwymi komunistami, przekonanymi zwolennikami ateistycznego materializmu i że są zdecydowani iść za marksizmem jako »normą działania«. Tym, co ich odróżnia od ich poprzedników stalinistów, jest metoda: zamierzenia — mniej lub więcej dalekie — są te same. Kardynał Wyszyński nie zawarł układów współpracy (collaborazione) z komunizmem i ani nawet z socjalizmem »demokratycznym«, który w Polsce ma być legalny jedynie w domniemaniach niektórych fantazjujących — lecz nieopatrznych — obserwatorów zagranicznych. Przeciwwstawia On mocne »non possumus« (nie możemy), gdy w 1953 rządcy polscy wystąpili z roszczeniem sobie prawa poddania Kościoła samowoli Państwa ateistycznego i jego funkcjonariuszy; za to był internowany i z tego samego powodu pod zniewalającymi pozorami uderzono w innych Biskupów, również stałych w obronie sprawy Bożej. Prymas, inni Pastarze, jakkolwiek relegowani lub uwięzieni, pozostali w sercach wiernych, którzy nie zaprzestali uważać ich za swych przewodników duchowych. Co wydzierzyło się potem?»

„W tragicznej godzinie narodu polskiego, gdy wydawało się, że naród katolicki jest bliskim pogrążeniem się w przepastnej tragedii podobnej do węgierskiej, odpowiedzialni za władzę publiczną odwołali częściowo zarządzenia prześladowcze przeciwko Kościołowi i przywrócili wolność Kardynałowi Prymasowi z innymi jego współpracownikami w Episkopacie. W zamian zażądali, ażeby Kościół użył swego

(Dokończenie na str. 18)

LAMUS SERDECZNY

O KOMETACH

Ukazanie się komety Arend-Roland, jak każde wydarzenie niecodzienne, ale mające swój precedens w dziejach, zwraca naszą uwagę ku przeszłości. Wielu ludzi pamięta jeszcze niewątpliwie tajemniczego gościa na naszym firmamencie w roku 1910. Tym tegoroczna „gwiazda z warkoczem” (jak ją dawniej nazywano) sprawi zapewne zawód nie dorównując świetnością swojej kuzynce sprzed 57 lat. W kronikach, pamiętnikach, dawnej literaturze i sztuce napotykalmy echa niezwyklej zjawisk niebieskich bardzo często. W dzisiejszych prozaicznych czasach, gdy wszechświat dziwów, mitologia, ogranicza się coraz bardziej do roli niezrozumiałego ozdobnika w wierszu „hermetycznego” poety, troskę nad kometami oddano w fachowe ręce astronomów. Ci jednak nie bardzo mogą dać sobie z nimi radę i przepowiednia Seneki, że „pewnego dnia zjawi się człowiek, który wskaże w jakiej części nieba komety mają swą drogę, dlaczego ich podróz tak jest różna od podróży innych planet, jaka jest ich wielkość i natura...” sprawdziła się dotąd tylko w części. Naukowcy snują przypuszczenia, tworzą mniej lub więcej ciekawą teorię, obalane jednak często przez nieubłagane doświadczenie.

Claudianus Claudianus w swym poemacie „De bello Getico” opiewającym najazd Alaryka, mówi o ukazaniu się komety, „której świat nigdy nie oglądał bezkarnie”. Ukazanie się komety przepowiadało zawsze wojnę, śmierć władców lub upadek królestw. „Jasna gwiazda z warkoczem — pisze Swetoniusz w „Żywocie Nerona” — która według powszechnego mniemania wróży i zagładę możnym, zaczęła wschodzić i ukazywała się przez wiele nocy”.

Wielki humanista polski, historyk i zarliwy wróg reformacji, Marcin Kromer, pisze o roku 1472, że początek jego „był od mioty niebieskiej, która długi za sobą, jasny ogon powłócząc, raz w północy, drugi raz w południe przytulała się, wielkie kłopoty zapowiadając, które całą prawie Europę przez trzy lata potem skolały”.

W „Panu Teadeuszu”

„...rzekł Wojski głowę pochyliwszy smutnie Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie”. Dzisiejsi astronomowie wdzięczni są wierze powszechnej we wróżebne właściwości komety: Dzięki tej wierze zwracano na nie uwagę, a kronikarze i historycy wszystkich czasów i nacji notowali skrzętnie ich ukazanie się. Informacje te są bezcenne dla badacza, który inaczej byłby skazany na obserwacje nagromadzone na małej tylko stosunkowo przestrzeni czasu przez swych naukowych poprzedników. Te właśnie kronikarskie notatki pozwoliły ustalić regularność w powrotach niektórych komet. Pośrednio też doprowadziły do określenia ich orbit. Nie wątpi się już dziś, że są to ciała niebieskie — i tak stara teoria, do której skłaniali się uczeni rzymscy, a wśród nich Seneka, wzięła górę nad średnio-wieczną — widzając przyczynę komet w oparach ziemskiej atmosfery.

W czasie, gdy dr Hallew badał mechanizm ich obrotów, arianin, Stanisław Lubliniecki (tzw. „młodszy”) herbu Rola i znany historyk swojej sekt, wydał (już no emigracji) wielkie trzypomowe dzieło łacińskie „Theatrum Cometicum” (Amsterdam 1668), łącząc w nim informacje zebrane na temat komet głównie w wyniku obfitej korespondencji z najwybitniejszymi naukowcami swego czasu,

które przeprowadził po ukazaniu się komety w zimie 1664/65 i w kwietniu 1665 roku.

Niewątpliwie jednak to nie wygnaniec-erudyta był wyraziście zainteresowany i opinii szerokiej rzeszy Sarmatów, ale inny nasz rodak, Jakub Kazimierz Haur, który w swym „Składzie albo skarbcu znakomitych sekretów oekonomii ziemskiej...” (Kraków 1693 w drukarni Mikołaja Schedla) rozważał praktyczne znaczenie zjawisk niebieskich:

„To rzecz pewna i nieomylna, że Powietrze i Ziemia ma swoją naturalną Correspondentię Sympathią, bo gdy się co ma stać znacznego na Ziemi, tedy w przód się to znajdzie na Powietrze: a jeśli się przypa-ko-



Gwiazda złowrózba
Prognozyka Krakowska Mistrza Mikulasa z Szadku, Kraków 1521

wo jakie stało na Ziemi nieszczęście, była snadą o tym na Powietrze przestroga”.

A kilkanaście stron dalej powiada, że „Roku 1680 był straszny a niezwykajny na powietrze kometa”.

Kometa wróżyła klęski lub śmierć, gdy ukazywała się przed tymi zdarzeniami (tak np. zapowiedzieć miała śmierć cesarza Wespazjana w roku 79, lub śmierć króla Aleksandra Jagiellończyka w 1506). Cóż jednak znaczący mogła następująca po nich? Wyjaśnią nam to Swetoniusz, Sceptyk i światowiec woli zepchnąć odpowiedzialność za zabobonne wierzenia na barki ludu rzymskiego: „Istotnie w czasie uroczystości, które po raz pierwszy wyłał na jego (Cezara) cześć, wnet po ubóstwieniu spadkobierca Augusta, przez dni siedem bez przerwy świeciła kometa, wschodząca około jedenastej godziny. Uwierzono, że to dusza Cezara przyjętego do nieba”.

Klęski elementarne, jak głód, zaraza, trzęsienie ziemi są niejako klęskami obiektywnymi. Inaczej z klęskami militarnymi: im bardziej były druzgocące dla jednych, tym większe zwycięstwo przynosiły drugim. Kometa, o której pisze hiszpański biskup Idatius, wywróżyła klęskę Atylii, ale zwycięstwo Rzymianom pod wodzą Aeciusza.

Nic dziwnego, że służąc tak wielu zadaniom, zawierając w sobie tyle tajemnic i zagadek, kometa nawet gramatyce — przynajmniej polskiej — nastęrczała trudności. „Słowem to — pisze Linde w swym Słowniku — że się kończy na „a” jest rodzaju żeńskiego; przez cudzoziemczynię to jest przez zwyczaj

grecki, bywa rodzaju męskiego”. W istocie do połowy XIX wieku przeważał rodzaj męski: ten kometa. Zdecydowany triumf rodzaju żeńskiego nastąpił dopiero w latach 1850-1870. Dziwne, że już wcześniej nie przechylił szali warkocz, w Europie dosyć powszechnie kojarzący się z kobiecością. A na warkocz zwracano szczególną uwagę. Tkwił już w samej nazwie grecko-łacińskiej. Stanowił komety istotę i chlubę. To jego efektywność i dekoracyjność wzbudziła niewątpliwie (obok roli proroczej) zainteresowanie artystów a szczególnie drzeworytników. Michał Wolgemut (1434-1519), chluba wczesnego niemieckiego drzeworytnictwa i nauczyciel Dürrera, wśród rozlicznych ilustracji, którymi zdobył „Kronikę Norymberską” Hartmana Schedla (1493), nie zapomniał też o wizerunku komety.

Drzeworyty polskiego anonima do „Prognozyków” mistrza Mikulasa (Mikołaja) z Szadka świadczą, że ów temat astronomiczny nie był obcy i naszej sztuce. Kometa która poprzedziła wyprawę wiedeńską, znalazła swój odzwiek w grafice. Mówi o tym także Mickiewicz ustami pana Połkomorze:

„Spojrzę, alic nad głowy suwał się kometa,
Drogą, jaką ciągnęły wojska Mahometa,
Z wschodu na zachód; potem i ksiądz Bartochowski,
Składając panegiryk na tryumf krakowski,
Poł godłem Orientis Fulmen, prawil wiele

O tym komecie; także czytam o nim w dziele
Pod tytułem Janina, gdzie jest opisana
Cała wyprawa króla nieboszczyka Jana,
I wyrta chorągiew wielka Mahometa,
I ów taki, jak dziś go widzimy, kometa”.

Nie ilustracją też astronomicznego dzieła, ale odbiciem wiary we wróżebne znaczenie znaków niebieskich, jest rysunek Artura Grottingera, na którym kometa z 1862 roku zapowiadać ma klęski i nieszczęścia powstania styczniowego.

Względnie niewielka część komet, zaprzętała uwagę ludzką budząc lęk, podziw, ciekawość. Ogromna ich większość, niezauważalna dla gołego oka, czy prymitywnych teleskopów, przeszła niebem niepostrzeżenie. I one jednak znalazły swego piewce (arcypiewce raczej) w osobie poety, który — sam nie zauważony przez współczesnych — widział dalej i czuł głębiej. Poetą tym był Cyprian Norwid. Wielkie piękno i tragiczna aktualność wiersza „Bezimienni” skłania mnie do przytoczenia go w całości a bez komentarza:

1.
„Teleskopowa, oj, kometo,
Przelatująca w dzień słoneczny
Gmin cię witał niestateczny,
Astronom ledwo z baszt luneta!
Ty na podół nie trzęsiesz złotem
Ni groźbami — cóż ludziom po tem?

2.
Ciche zasługi są tak samo,
Bez wczesnego, gdy schodzą żalu;
Dziecię woła za pierśią „Mamo!”
Lecz ona w mieście jest na balu,
Pierś zapięta wsparłszy o ramię
Tanecznika, co uśmiech kłamie.

3.
O, z jakimże wołałem żalem
Na cmentarzach twoich, narodzie:
„Jeruzalem! o Jeruzalem!
Bez strażników i wieżyc grodzie,
Zawsze nie wczas, lub zawsze nie ty
Teleskopowe znasz komety”.

Mieczysław Paszkiewicz

ROZPOWSZECHNIĄ J
WŚRÓD SWYCH ZNAJOMYCH
»Ż Y C I E«

KOMETA ARENDA I ROLANDA

Napisał TADEUSZ FELSZTYN

Nocne niebo w kwietniu gościło rzadkiego przybysza — kometa widoczna gołym okiem. Choć że warunki atmosferyczne nie pozwoliły wielu mieszkańcom wysp brytyjskich zachwycać się tym widokiem, choć blask komety i wielkość jej warkocza były mniejsze, niż to początkowo zapowiadali astronomowie (trudno, komety są bardzo kapryśnym zjawiskiem niebieskim), to w każdym bądź razie była to od 1910 roku pierwsza kometa, jaką wiele mieszkańców w Anglii, Francji i Niemczech widziało na niebie bez pomocy teleskopu.

I co ciekawe, było to zjawisko zupełnie nieoczekiwane. Komety nie są bynajmniej zjawiskiem rzadkim. Kometa Arenda i Rolanda była już ósmą z rzędu, jaką zaobserwowano w 1956 roku. Większość z nich są to jednak komety tak blade, że widać je można jedynie w teleskopach. Znany dzisiaj blisko 800 komet, skatalogowanych przez astronomów, i nadal od czasu do czasu pojawia się zupełnie nowa kometa, nigdy dotąd nie obserwowana. Nie wynika to bynajmniej z braku dostatecznej obserwacji nieba, choć oczywiście wszystkie teleskopy ziemskie razem wzięte nie potrafią objąć całego nieba gwiazdowego bez przerwy, lecz pochodzi to raczej z faktu, że żywot komet jest stosunkowo — jak na astronomiczne lata — krótkotrwały i po tysiącach okrążeń słońca kometa się rozpada, często przemieniając się w rój meteorów. Jeśli więc, mimo to, komety stanowią stałe zjawisko w życiu naszego układu słonecznego, to tylko dlatego, że nieustannie się pojawiają planety nowe. Skąd się one biorą, na to dotąd nie mamy odpowiedzi.

Chmura okruchów niebieskich. Niektórzy astronomowie, jak np. duński astronom Oort, są zdania, że komety stanowią stały składnik naszego układu słonecznego, wielką chmurę drobnych, rozrzuconych i niekształtnych mas, krążącą dookoła słońca w dużych odległościach, setki czy nawet tysiące razy większych, niż najdalsza planeta. Pod wpływem sił przyciągania największej z planet, Jowisza, a nawet pobliskich gwiazd, niektóre części tej chmury okruchów niebieskich zmieniają swój bieg, okrążając słońce po dużych orbitach eliptycznych, stając się tym samym w naszych okolicach układu słonecznego zjawiskiem okresowym, powracającym co kilka, kilkadziesiąt, a nawet kilkaset lat.

Nie wszyscy astronomowie są tego samego zdania. Jedni widzą źródło powstawania komet w rozbitej planecie, lub planetach, jakie ongiś istniały między Marsem a Jowiszem, inni sądzą, że niektóre przynajmniej z komet są gośćmi, dolatującymi do nas spoza układu słonecznego. Czy tak czy inaczej faktem jest, że od czasu do czasu pojawiają się nowe komety, nigdy dotąd nie obserwowane, jak np. niespodziewana i wyjątkowo jasna kometa w 1910 roku, którą wielu ludzi mylnie uważało za kometa Halleya.

Kometa Arenda i Rolanda jest właśnie taką nową kometa. Zauważyli ją po raz pierwszy w dniu 8 listopada 1956 roku astronom belgijski Arend, wspólnie ze swym kolegą Rolandem. Zauważyli ją na kliszy fotograficznej w postaci drobnej, zamazanej kropki. Odległość jej wynosiła wtedy 232 miliony mil od ziemi, nie dziw więc, że była ona przedmiotem słabo widocznym, skoro komety, tak jak i wszystkie inne ciała układu słonecznego, nie świecą własnym światłem, lecz jedynie odbitym światłem słonecznym. Dokonane do tego czasu pomiary komety tej pozwoliły na ustalenie jej orbity i obliczenie szybkości.

Była ona nieco większa, niż szybkość, jaką musiałaby mieć kometa, aby jej orbita była elipsa, a więc, aby kiedyś znów powróciła na swe obecne miejsce, co zupełnie dobrze odpowiada komete, która — wciągnięta siłą przyciągania słońca w głąb układu słonecznego — otrzymuje przyspieszenia od planet, w pobliżu których przechodzi.

W dniu 12 kwietnia 1957 r. odległość komety od słońca wynosiła — jak na odległości planetarne skromną tylko liczbę 30 milionów mil, a w dniu 12 kwietnia kometa była najbliższej ziemi, bo wszystkiego 52 miliony mil, a więc z grubsza tyle co Mars w 1956 roku.

Obawa więc zderzenia się komety z ziemią, jaką wysunęły niektóre żądne sensacji dzienniki, w chwili gdy kometa ta po raz pierwszy została odkryta, okazały się pienne. Należy zresztą stwierdzić, że nawet gdyby takie zderzenie nastąpiło, nie byłoby ono bynajmniej wcale tak groźne, jak to sobie nieraz najwinnie wyobrażamy.

Nie byłby to zresztą wypadek pierwszy. Ziemia przeszła poprzez ogon komety już niejednokrotnie, choćby w 1910 roku poprzez ogon komety Halleya. A w 1872 roku zderzyła się z ziemią kometa Bielli. Zarówno w Berlinie, gdzie to zderzenie się komety Bielli z ziemią zaobserwowano, jak i w Madras w Indiach, gdzie wynik tego zderzenia starannie studiowano następnej nocy, zauważono tylko wzmrożony deszcz meteorów, który od tego czasu regularnie powraca co sześć lat.

Kometa bowiem nie jest ciałem budowy tak stałej jak ziemia. Nie tylko jej warkocz, który jest gazem tak rozrzedzonym, że 2000 mil sześciennych tego warkocza zawiera tyle gazów, ile całe sześcienną powietrza pod ciśnieniem atmosferycznym, ale nawet głowa komety jest tylko zbiorowiskiem luźnych okruchów materii, wagi od ułamka grama do najwyższej setek lub tysięcy ton. Nie dziw więc, że na kliszach fotograficznych często widać gwiazdy przeświecające poprzez głowicę komety, a gdy w 1910 roku kometa Halleya przeszła między ziemią i słońcem, nie wywołało to najmniejszej zmiany natężenia światła słonecznego.

Lepiej, trzymając się te okrucy głowicy komety w kupie, są zestalone gazy, jak amoniak, metan i dwutlenek węgla, z domieszką cjanu i prostych węglowodorków. Gdy kometa przybliża się do słońca, ciepło jego promieniowania powoduje sublimację tych gazów, a ciśnienie promieniowania słonecznego wyrzuca je w kierunku od słońca, tworząc tak imponujący warkocz komety.

Przejście ziemi przez warkocz komety nie może w tych warunkach być groźne dla mieszkańców ziemi. Długość warkocza, więc np. cjanu, jakie atmosfera ziemiska wchłania przy tym zetknięciu się z warkoczem komety jest tak mała, jak gdyby kilka zaledwie litrów tych gazów rozpuściło się w niej. Wpływ na życie na ziemi jest więc bardziej niż minimalny.

Również, jak to widzieliśmy na przykładzie komety Bielli, nawet zetknięcie się głowicy komety z ziemią nie grozi żadnymi poważnymi następstwami. Głowa komety ma średnicę od 50.000 do 250.000 kilometrów, a więc znacznie więcej niż średnica ziemi, podczas gdy masa jej jest tysiące razy mniejsza, niż ziemi, tak że przeciętna gęstość komety jest tysiące razy mniejsza, niż gęstość ziemi. Szansa więc zetknięcia się ziemi z okrucem komety o masie większej, niż przeciętny meteor, jest minimalna.

W olbrzymiej więc większości wypadków zderzenie się głowy komety z ziemią spowodowałoby co najwyżej zwiększenie deszczu meteorów. Zapewne, istnieje minimalna możliwość, że wśród tych meteorów znajdzie się jakiś meteor-olbrzym o masie kilku a nawet kilkuset tysięcy ton. Wypadki takich olbrzymich meteorów oczywiście się zdarzają, jak np. meteor, który pozostawił krater w Arizonie, o średnicy mili a głębokości 600 stop, lub też olbrzymi meteor, który spadł na Syberię w 1908 roku, powodując zniszczenia i pożary lasów w promieniu 20 mil. Niektórzy uczeni (jak np. Urey, który obliczył, że prawdopodobieństwo takiego wypadku istnieje raz na 50 milionów lat) są zdania, że skutki zderzenia się takiego potężnego okrucza głowy komety byłyby nawet groźniejsze, że byłyby one tak groźne jak wybuch miliona bomb wodorowych.

Tektyty. Takiemu właśnie zderzeniu się komety z ziemią przypisuje Urey zbierane w licznych punktach ziemi tektyty. Tektyty, znane pod przeróżnymi nazwami, jak np. australity, mołdawity, szkło libijskie itp., zaleźnie o miejsca ich znajdowania, są odłamkami szkliwa o ostrych zarysach i o przedziwnie nieregularnych kształtach. Wedle Ureya, są one wynikiem stopienia skał na powierzchni ziemi pod wpływem ciepła, wywołanego zetknięciem się ziemi z takim olbrzymim kawałem głowicy komety. Większość jednak astronomów sądzi, że tektyty te, których skład różni się od wszystkich znanych skał magmowych na ziemi, a jedynie przypomina niektóre skały osadowe, nie są pochodzenia ziemskiego, ale że są częstkami pewnej kategorii meteorytów, które rozleciały się na ostre kawałki pod wpływem zetknięcia się z atmosferą ziemską. Źródłem tektytów byłyby więc nie komety, ani też katastrofalne skutki zetknięcia się wyjątkowo wielkiego odłamku głowicy komety z ziemią, lecz rozbita planeta, lub planety, jakie ongiś krążyły pomiędzy Marsem a Jowiszem.

Wedle więc opinii większości astronomów, nawet zderzenie się ziemi z największym odłamkiem głowicy komety byłoby co najwyżej katastrofą lokalną, nigdy zaś zdarzeniem na skalę globalną.

W dawnych czasach przypisywano kometom znaczenie złowrogie, znaku Bozego, grożącego ludzkości, różgi Bożej, zwiastującej jakąś klęskę. Swift, autor „Podróży Guliwera”, pisał, że komety, jak i starzy ludzie, mają długie brody i pretensję, że potrafią przepowiedzieć przyszłość. Istotnie, w czasach Swifta łączono komety z wydarzeniami historycznymi, jak np. kometa w 1453 roku z upadkiem Konstantynopola, a kometa w roku 1066 uważano za zapowiedź tak brzemiennej w skutkach dla Anglii klęski Anglosasów w bitwie pod Hastings. Nawiasem mówiąc, obie te komety były znaną nam dziś już dobrze kometa Halleya, jedną z najjaśniejszych komet, jakie pojawiają się na naszym niebie.

Dziś kometa straciła brodę, a uzyskała w języku polskim, jako że jest rodzaju żeńskiego, warkocz, podczas gdy Anglicy bardziej prozaicznie przyklepili jej ogon (tail). Wiemy również, że nie przepowiada ona przyszłości, ani też nie grozi gniewem Bożym, choć — Bogiem a prawdą — byłby dziś po temu jeden powód. Mimo to, przyznać trzeba, że kometa, zjawisko dotąd niezupełnie zrozumiałe w swym pochodzeniu, uczy nas, że wiele jest jeszcze rzeczy na ziemi i niebie, których umysł ludzki nie dołądzi rozwiązać, mimo iż niektórym uczonym w ich pysze wydaje się, iż umysłem swym bez pomocy Bożej potrafią odpowiedzieć na wszystkie pytania, i rozwiązywać najgłębsze zagadnienia bytu.

Tadeusz Felsztyn

GZYŻBY WPŁYWY KOSMICZNE?

Czy gwiazdy mogą mieć wpływ na życie i losy ludzkie? Wiele osób, mimo swego sceptycyzmu, skłonnych jest sądzić, że jednak jest jakaś szczypta prawdy w wieszczeniach astrologów, choćby z powodu promieniowania wydzielanego przez ciała niebieskie.

Do interesujących, aczkolwiek nie mających wiele wspólnego z astrologią, rezultatów doszedł w wyniku swych badań młody uczonec francuski Michel Gauquelin. Badania te przeprowadził on w Instytucie Psychologicznym Akademii paryskiej i zaskoczony ich wynikami ogłosił o nich książkę pt. „L'Influence des Astres”.

Gauquelin zestawiał daty urodzenia 5.756 wybitnych Francuzów i następnie zbadał, jakie pozycje na niebie w czasie tych urodzeń zajmowały planety Mars, Jupiter i Saturn. W obliczeniach swych uwzględnił już fakt, że liczba urodzeń nie jest równomiernie rozdzielona między 24 godziny doby ani między miesiące roku; we Francji na przykład w marcu, kwietniu i maju przychodzi na świat więcej dzieci niż w ostatnich trzech miesiącach roku. Uwzględniając to i parę innych jeszcze źródeł błędów przy obliczeniach, należałoby oczekiwać — o ile założymy, że nie ma żadnego związku między pozycją gwiazd a biologicznym przebiegiem urodzeń — iż przy tak znacznej ilości ludzi, zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa, położenie gwiazd w momencie urodzenia będzie całkiem przypadkowe.

Gdyby to było przypadkowe... Gauquelin dla uwypuklenia wyników swych obliczeń posługuje się prostym wykresem. Pozorną dzienną wędrówkę Marsa przedstawia w postaci koła, którego obwód podzielony jest na 24 równe odcinki, reprezentujące godziny dnia. Uczony francuski zestawia z tym godzinny urodzeń 2.400 osób; bez względu na pozycję Marsa na niebie. W poszczególnych godzinach, ilość osób urodzonych o tych godzinach powinna być jednakowa, to znaczy przypadkowo powinno 100 osób na każdy z 24 odcinków, na jakie podzielone jest koło. Gdyby cyfrę tę uwidocznić na promieniu każdego odcinka i zaznaczone punkty następnie połączyć ze sobą, otrzymamyby się na wykresie linię równie bardzo zbliżoną do koła. Jeśli jednak godzinny urodzeń 100 osób nie rozdziela się równomiernie między owe 24 odcinki, reprezentujące pozycję Marsa na niebie, to wspomniane drugie koło będzie zniekształcone.

Otóż gdy zbada się w ten sposób godziny urodzenia jakiejś zupełnie przypadkowo wychwyconej liczby osób, okaże się, że istotnie godziny te nie powtarzają się specjalnie częściej czy rzadziej przy jakichś określonych pozycjach Marsa. To samo dotyczy planet Jupitera i Saturna, w stosunku do których Gauquelin również przeprowadził takie badania. I tutaj otrzymujemy na wykresie linię bardzo zbliżoną do koła. Obraz jednak zmienia się, gdy się weźmie pod uwagę duże grupy ludzi różnych zawodów. Tu właśnie okazuje się rzecz zsumiawająca.

Aktorzy pod znakiem Jupitera? Gdy zbada się godziny urodzenia 500 aktorów i pozycję, jaką w momentach tych urodzeń zajmował Jupiter na niebie, względnie na kole z 24 odcinkami, okaże się, że w niektórych odcinkach występują osobliwe nagromadzenia liczby urodzeń, wskutek czego linią, jaką połączymy zaznaczone punkty, będzie bardzo odbiegała od kształtu koła. W ogromnej większości wypadków godzina urodzenia przedstawicieli tego zawodu przypadała na czas, kiedy Jupiter albo właśnie przekroczył najwyższy punkt na niebie, albo znajduje we wprost odwrotnej pozycji pod horyzontem. Szczegół-

nie silnie ten stan rzeczy dał się zauważyć, gdy Gauquelin wybrał z tej grupy zawodowej 122 najwybitniejszych aktorów francuskich ubiegłego stulecia oraz 224 wybitnych aktorów współczesnych. Zbadanie pozycji Jupitera w stosunku do chwili ich urodzenia daje, zdaniem Gauquelina pewność, że w grze nie może być tylko przypadek.

Do podobnych wyników Gauquelin doszedł, jeśli chodzi o inne grupy zawodowe, takie, w których istnieje silny związek między zawodem a osobowością, a więc jeśli chodzi o lekarzy, naukowców, duchownych, wojskowych, polityków, sportowców. We wszystkich tych wypadkach — jak czytamy w książce — pewne pozycje planet zbiegają się z nagromadzeniami urodzeń w stopniu bardzo wybiegającym poza rachunek prawdopodobieństwa. Wybija się tu na plan pierwszy dwa punkty w pozycji planet: moment wkrótce po pojawieniu się planety nad horyzontem i moment wkrótce po jej najwyższej pozycji na niebie, a więc po punkcie kulminacyjnym.

Gauquelin pisze, że w takich właśnie pozycjach znajduje się bardzo często planeta Marsa przy urodzeniach osób, które później wyróżniają się usposobieniem czynnym i energicznym, a więc wojskowych, lekarzy, sportowców itd. Przy duchownych i uczonych, a więc ludziach skłonnych do rozmyślań, analogiczny wpływ, wedle obliczeń psychologa francuskiego, wywierają pozycje Saturna.

Ale Gauquelin wystrzega się wszelkich wniosków uogólniających. Ogranicza się do przytoczonych cyfr, z których wynikałoby, że pewien wpływ ciał niebieskich istnieje. Autor książki zdecydowanie odgracza się od daleko idących wniosków astrologów co do oddziaływania gwiazd na bieg życia ludzkiego. Nie próbuje także żadnego wyjaśnienia wyników swoich własnych badań.

Wpływ słońca na istoty żywe. Jeśli nawet badania innych specjalistów (o ile się tacy znajdują) potwierdzą ścisłość metody badań i wniosków Gauquelina, nie będzie to oczywiście oznaczalo, że owe wpływy, którymi on się zajął, mają jakiś charakter nadprzyrodzony, lub wkraczający w dziedzinę magii. Jest rzeczą powszechnie znaną, że słońce i księżyc wywierają niewątpliwie wpływ na życie ludzi i w ogóle istot żywych na ziemi.

Wiele procesów biologicznych przebiega nie w sposób ciągły, ale wedle określonych rytmów, które wyznaczone są albo przez słońce, albo przez położenie naszej planety w stosunku do niego. Szczególnie dokładnie zbadana została przez uczonych rytmika 24 godzin doby, która dominuje nad całym życiem naszych organizmów i znajduje wyraz nie tylko w powtarzających się wahaniach ciepłoty ciała, pulsu i ciśnienia krwi, ale także w zmianach funkcjonowania naszych organów wewnętrznych. Nawet w sztucznie zmienionych warunkach życia rytmika ta się nie

zmienia; tak np. badania robotników, pracujących w nocy, wykazały, że nawet u tych ludzi mimo ciężkiej pracy, jakiej dokonywają, puls jest w nocy dużo wolniejszy, niż w czasie snu za dnia.

Nierównomiernie w ciągu doby rozłożonych jest wiele innych procesów organicznych: czas urodzenia, okresy dzielenia się komórek, które powodują rozrost organizmu — ba, nawet ból i śmierć mają swoje krytyczne godziny.

Nie mniejsze znaczenie niż rytmika dnia posiada rytmika pór roku, określana przez położenie ziemi w stosunku do słońca. Tak np. w lecie komórki ciała dzielą się i rozmnażają dużo szybciej niż w zimie. Pączki rosną dwa razy prężej. W pewnych porach roku znacznie też większa jest liczba występowania pewnych chorób, co na ogół wiemy z doświadczenia. Odra np. pojawia się najczęściej na wiosnę, a parazyt dziecięcy na jesieni. Rzecz ciekawa, że poza rytmiką pór roku rolę tu, jak się zdaje, odgrywa także rytmika okresów jedenastoletnich, przy końcu których plamy na słońcu osięgają swe maksimum. Wówczas to występują szczególnie masowo choroby zakaźne i wypadki śmierci, co wykazały liczne badania statystyczne.

Oddziaływanie księżycy. Mniej zbadane są oddziaływania księżycy na istoty żywe na ziemi. Oddziaływania te ze zrozumiałych względów najsilniejsze są w stosunku do wszystkich zwierząt i żyłatek, przebywających w morzu, gdyż poddane są one działaniu przyływów i odpływów i związanych z tym zmian ciśnienia. Jeśli chodzi o ludzi, to nie ma jakichś bezwzględnie pewnych dowodów, że istnieje jakaś zależność między życiem ich organizmów a rytmem księżycy. Wprawdzie uczeni niemieccy, na podstawie przeprowadzonych przez nich doświadczeń, doszli do wniosku, że istnieje związek między fazami księżycy a życiem organicznym kobiet, ale hipoteza ta została zakwestionowana z innych stron. Także związku między częstością urodzeń a pozycją księżycy nie udało się wykryć. Interesujące wyniki za to dało zbadanie 33.000 urodzeń we Fryburgu w Badenii, z punktu widzenia płci. Badania te miały wykazać, że podczas „rośnięcia” księżycy przeważają urodzenia dziewcząt, a podczas jego zmniejszania się — urodzenia chłopców. Rzecz wymaga jednak potwierdzenia przez dalsze badania.

Oczywiście, od tych oddziaływań słońca i księżycy droga jeszcze bardzo daleka do zrozumienia ewentualnych wpływów planet na kształtowanie się zdolności i skłonności psychicznych przychodzących na świat ludzi. Nie też wskazana jest rezerwa w stosunku do wniosków z tego zakresu; nawet jeśli jest w nich coś z prawdy, w grę tu mogą wchodzić tylko niezbadane do tej pory tajemnice przyrody.

Ś. † P.

JAN PŁAZAK

urodzony w 1913 roku w ziemi kieleckiej, wieloletni członek naszego Związku, oficer rezerwy, b. więzień Oświęcimia, Murnau, żołnierz 3. D. S. K., odznaczony krzyżami wojskowymi, zmarł nagle w Londynie i został pochowany na Brompton Cemetery.

Odszedł od nas prawy Polak i dobry Kolega. Cześć Jego pamięci.

Związek Dziennikarzy R. P.

SPRAWY MIĘDZYNARODOWE

CHINY

POTRZEBA WSPÓLPRACY Z SOWIETAMI

Dużo się w ostatnich czasach pisało o pewnej niezależności, jaką Chiny komunistyczne objawiają w ostatnich czasach w stosunku do Kremia; powoływano się przy tym na ustosunkowanie się Chin wobec Polski, ostatnio w szczególności na deklarację podpisaną podczas wizyty Cyrankiewicza w Pekinie. Od dawna się w tej mierze jakimś daleko posuniętym nadziejom wkraczałoby w sferę pożądanego życzeń i byłoby nierealne, choćby z tego powodu, że Chiny bardzo pomocy sowieckiej potrzebują, zwłaszcza z przyczyn gospodarczych. Potrzebują one zarówno urządzeń przemysłowych, których ze zrozumiałych względów ani nie chcą, ani nie mogą dostać od Ameryki, jak i fachowców sowieckich różnego rodzaju. Trzeba też brać pod uwagę, że wprawdzie Chiny na dalszą metę niewątpliwie będą dążyły do pełnej samodzielności, jednak rządzone są przez szczerych i przekonanych komunistów, którzy pod względem swego odwołania doktrynie marksizmu niewiele chyba ustępują swym kolegom z Kremia.

W każdym razie trudno sobie wyobrazić, by mimo pewnych różnic w taktyce politycznej mogło dojść w dającym się przewidzieć czasie do poważniejszych rozdziewików między obu największymi państwami komunistycznymi. Manifestacją bliskich stosunków między nimi stała się wizyta głowy państwa sowieckiego marsz. Woroszyłowa w Pekinie, po której wkrótce nastąpi wyjazd Mao Tse Tung do Moskwy.

Rzeka Czarnego Smoka. Na wizytach formalnych na pewno się nie skończy. W toku jest współpraca gospodarcza w szeregu dziedzin — współpraca, która nie ma wcale jakiegos jednostronnego charakteru. Sowiety wystrzegają się starannie wywoływania wrażenia, że chcą mieć w Chinach wyzyskiwanego przez siebie satelitę. Chiny są za wielkie i potencjalnie za potężne, by można je było traktować w taki sposób, w jaki Moskwa przez długie lata traktowała — i częściowo jeszcze traktuje — Polskę i inne sąsiednie kraje Europy środkowo-wschodniej. Doświadczenia z tymi krajami — zwłaszcza z Polską — przypuszczalnie jeszcze bardziej pouczyły Moskwę, że powinna się wystrzegać wytwarzania wśród Chińczyków wrażenia, iż są obiektem jakiejś eksploatacji typu kolonialnego.

Przykładem współpracy, która może wyjść na korzyść obu krajów, jest projektowane uporządkowanie i wyzyskanie dla celów gospodarczych rzeki Amuru i jej zagięcia. Amur, zwany przez Chińczyków „rzeką Czarnego Smoka”, stanowi na przestrzeni 1900 kilometrów granicę między obu imperiami komunistycznymi. Do tej pory rzeka ta pozostawała w stanie dzikim i nieuregulowanym — obecnie ma to ulec zmianie.

Moskiewska Akademia Nauk ogłosiła niedawno pierwsze dokładniejsze dane o dotychczasowych ekspedycjach i pracach badawczych w obszarze Amuru i dalszych planach w stosunku do tego obszaru. W początkach 1956 roku podpisany został między władzami sowieckimi i chińskimi układ co do naukowego zbadania Amuru i jego zagięcia. Stworzono zespół sowieckich i chińskich przyrodników, inżynierów i różnego rodzaju ekspertów, który na podstawie tego układu przystąpił do pracy. Głównym jego zadaniem było zbada-

nie siły wodnej rzeki i jej dopływów, możliwości żegluga oraz perspektywy rolnictwa, hodowli bydła i gospodarki leśnej, wreszcie stwierdzenie obecności bogactw mineralnych. Pierwsze z wyników tych badań zawiera właśnie wspomniane wyżej sprawozdanie.

Wielkie obszary żyznej ziemi. Całe zagięcie Amuru pokryte jest na dużych przestrzeniach żyznym czarnoziemem. Stwierdzono, że grunt ten przez całe dziesiątki lat będzie dawał bogate plony bez potrzeby żadnej melioracji. Oczywiście warunkiem jest uregulowanie Amuru, który w czasie deszczów monsunowych i wysokiego stanu wody w lecie występuje z brzegów, zalewając pola, plantacje i osiedla ludzkie.

Badania wykazały, że „czarnego smoka” da się pokroić, jeśli się zbuduje pięć wielkich basenów na jego głównych dopływach. Nie tylko zapobiegną one niebezpieczeństwom powodzi, ale umożliwią wyzyskanie mas wodnych Amuru dla wytwarzania energii elektrycznej.

W związku z tym planowane jest zbudowanie pięciu wielkich elektrowni wodnych. Wedle przybliżonych obliczeń Amur wraz ze swymi dopływami będzie mógł dostarczać co najmniej 220 milionów kilowatów prądu elektrycznego przy niskich kosztach jego wytwórczości. Po stronie sowieckiej zaopatrywane będą w prąd okręgi przemysłowe Czyty, Chabarowska i Komsomolska, nadto zaś zelektryfikowana kolej transsyberyjska, po stronie zaś chińskiej cała Mandżuria z jej okręgami stalowymi i węglowymi w Fuszun i Anszan. W ten sposób Amur ma się stać tanim i obfitym źródłem energii dla całego obszaru przemysłowego po obu stronach granicy.

Amur jako droga wodna. Ale Amur ma nie tylko dostarczać energii, ale także służyć jako ważna arteria komunikacyjna. Do tej pory z powodu licznych spadków i niebezpiecznych prądów był on mało przydatny do żeglugi. Obecnie jednak planowana jest sieć trzech kanałów, z czego dwa znajdować się będą po stronie chińskiej — będą one łączyły Amur z zatoką Liau-Tung a przez to z rozbudowującym się zapleczem portu w Tientsinie — a trzeci kanał, po stronie sowieckiej, ma stworzyć bezpośrednie połączenie między Amurem a Władywostokiem. Ten trzeci kanał będzie szczególnie ważny dla sowieckiego Dalekiego Wschodu, pozwoli bowiem docierać nawet okrętom morskimi do ważnego ośrodka, jakim jest Komsomolsk, bez długiego i uciążliwego przejazdu przez limany ujścia Amuru.

Urzeczywistnienie tych projektów zrobi z Amuru rzekę trzech mórz: Ochockiego, Japońskiego i Żółtego. Zagięcie Amuru zostanie nadto połączone linią kolejową z krajem Jakutów, czyli jak się go obecnie nazywa Jakucją, gdzie w południowej części znaleziono świeżo olbrzymie zapasy węgla koksującego i rudy żelaznej. Długo rzeka Aldan, płynąca na północ od Amuru, a będąca dopływem Leny, jest w trakcie stawiania się główną podstawą przemysłu hutniczego Dalekiego Wschodu. Wspomniana nowa linia kolejowa łączy zagięcie Amuru z najbliższymi obszarami tajgi syberyjskiej. Chińskim odpowiednikiem tego nowego sowieckiego okręgu przemysłowego jest oczywiście Mandżuria, która otrzymuje nowy bodziec rozwoju.

Bogactwa naturalne zagięcia Amuru. Poza uregulowaniem niesforne „Czarnego Smoka”, stawa budową wielkich elektrowni i stworzenia nowych arterii komunikacyjnych, w planie jest większe niż dotąd wyzyskanie bogactw naturalnych zagięcia Amuru. Dopiero niedawno odkryto tam rudę żelazną i zapasy cynku. Geologowie nie ustają w poszukiwaniu dalszych bogactw naturalnych. Jak dotąd stwierdzono już obecność rudy cynowej i ze-

laznej, grafitu, manganu, węgla kamiennego i nawet złota, choć nie wiadomo czy istnieje ono w większych ilościach. Jeśli chodzi o inne z wymienionych minerałów, to ustalono, że istnieją one w ilościach wystarczająco dużych, by powstały odpowiednie zakłady przemysłowe.

Znaczącymi brakami gospodarki komunistycznej, szczególnie niedołęstwo i brak skoordynowania cechujące biurokrację sowiecką, można przypuszczać, że opisane wyżej wielkie plany pozostaną w dużym stopniu na papierze. Ale nawet częściowe ich wykonanie będzie stanowiło duży krok naprzód w rozwoju gospodarczym Dalekiego Wschodu. Jakże zaś będą polityczne następstwa tej współpracy sowiecko-chińskiej — przyszłość okaże.

SOWIETY

WYŻSZE I NIŻSZE SFERY W SOWIETACH

W tej chwili w prasie sowieckiej panuje moda na omawianie spraw z wiością i miłością związanych. Drukuje się nawet w ortodoksyjnej „Prawdzie” listy czytelników z pytaniami dotyczącymi różnych problemów miłosnych. Również udziela się tymże czytelnikom miejsca na debaty godne „Woman's Own”, czy też „People's”.

Zaczęło się zaś to wszystko od przesłanego do „Komsomolskiej Prawdy” listu młodej damy Nelly (co za imię!) Weroniny. Jak sama „Komsomolska Prawda” przyznaje, list sprowokował istną lawinę innych listów, oraz artykułów w prasie rosyjskiej.

Układna i grzeczna Nelly zapytała bowiem w swej gramocie, czy wypada, by panna z dobrej rodziny i wyższym wykształceniem, wychodziła za mąż za zwykłego robotnika.

Owa panna z „dobrej rodziny” pisze: „Jestem zaręczona z Walerym Dubowem. Choćpak przystojny, miły. Jestem w nim zakochana. Niestety, Waleri jest niskiego pochodzenia. Nie ma dobrych manier, ani też wykształcenia. Jest zwykłym robotnikiem, monterem”. Ów konflikt w duszy dobrej córki Nelly powstał z chwilą, kiedy rodzice, dowiedziawszy się o zamiarach Nelly, oraz wzajemności Dubowa zaprotestowali i to w sposób następujący: „nie będzie szczęśliwe małżeństwo, w którym jedna ze stron posiada dobre wychowanie i wykształcenie, druga zaś tego nie ma”.

„Czyżby tak było naprawdę? — pyta Nelly przez łzy. — Jeżeli tak jest rzeczywiście, to muszę rzucić narzeczonego!..”

Odpowiedzi, jakie posypały się w prasie rosyjskiej były tak sprzeczne, jak sprzeczne, bywają rozmaite doktryny dialektycznego materializmu.

„Prawda” trzyma się starej zasady pocziwej pani Kollataj, czyli „teorii wody i szklanek”. Ogłosiła list niejakiego Gregorijmowa, który orzeka, że „miłość nie jest tajemniczym, podniecającym, czy pełnym zagałek uczuciem, że to po prostu tylko potrzeba ciała”.

Niejaka panna Benderowa jest innego zdania: „Nelly nie powinna dać się zastraszyć prostactwami teoriami. Także zwykli prości ludzie zdolni są do wyższych uczuć”. (Co za uprzejmość wobec prostych ludzi!)

Może najciekawszą wypowiedzią w tej dyskusji był list niejakiego Wiktora Siergiejew. Siergiejew opisał barwnie w swym liście, jak to raz z narzeczoną swą, studentką na tym samym wydziale uniwersytetu na którym i on studiuje, zaczęła omawiać sprawę przyszłości, ślubu etc. Miał już możliwość ustalenia wreszcie terminu ślubu i zakończenia prze-

dłużającego się narzeczeństwa, gdyż obiecała mu mieszkanie. „Będziemy mieli mieszkanie — mówił — wtedy będę mógł także sprowadzić do nas moją starą matkę”.

„Co? Jak? Chcesz sprowadzić swoją matkę do nas? — rzuciła się oburzona narzeczoną — Cóż ty sobie myślisz właściwie? Wyobrażasz może sobie, że ja, dobrze wychowana dziewczyna, będę dzieliła mieszkanie ze zwykłą ex-robotnicą z zakazanego kołchozu?”

Miłość się skończyła, narzeczeństwo Wiktora Siergiejew rozleciało się po prostu. Prawdopodobnie to samo będzie z Nelly. Bowiem czasy, kiedy ogłoszono, że ludzie w Rosji są sobie równi, robotnik i minister, profesor uniwersytetu i marynarz, oficer i kanalarz — dawno się już skończyły. Zresztą w myśl zasad dialektycznego materializmu, nadal wszystko jest w porządku. Jeszcze w okresie ostatniej wojny, gdy na pewnym odcinku spotkali się Anglicy z Rosjanami i trwało „braterstwo broni”, angielscy oficerowie byli nie raz zapraszani do kasyn oficerskich, zaś podoficerowie do kasyn podoficerskich armii sowieckiej. Tam zdumieni Anglicy obserwowali dziwne dla nich zjawisko. Każła ranga jadała osobno, nie było mowy o jakichś wspólnych rozmowach. Wyjaśniono im, że to jest właśnie demokratyczne, że w ten sposób wyżsi, separując się, zapewniają swobodę niższym, zaś niżsi wyższym etc. Pouczono zdumionych Anglików, że mieszanie się wzajemnie oficerów i podoficerów rozmaitego stopnia jest bardzo szkodliwe dla demokracji, gdyż wszyscy powinni się czuć równi. Tylko zaś wtedy czują się równi, kiedy są dokładnie podzieleni...

M. Liss

NIEMCY

OD SAARY DO KŁAJPEDY

Kongres niemieckiej partii uchodźczej, „Bund der Aetribenen und Entrechtenten” (BHE), jaki odbył się w dniach 25-27 kwietnia w Düsseldorfie, postanowił prowadzić kampanię wyborczą pod hasłem: „Von der Saar bis an die Memel...” (od Saary do Kłajpedy). Politykom, zdradzającym skłonność do częściowych choćby rezygnacji (Verzichtspolitiker) zapowiedział BHE bezlitosną walkę.

Punktem wyjścia rokowań pokojowych ma być — zdaniem BHE — „międzynarodowo-prawnie bezsporny stan posiadania Rzeszy w momencie kapitulacji”. Stan ten obejmuje nie tylko obszar powersalskiej Rzeszy, ale również i dokonane przez Hitlera aneksje Sudetów i Kłajpedy. Tak przynajmniej brzmią rezolucje kongresu. Z interpretacji niektórych mówców wynikało, że formuła ta obejmować winna i inne obszary „niemieckiego wschodu”. „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (z dnia 29 kwietnia) donosi, że na konferencji prasowej, jaka odbyła się po kongresie, zapewniano wprawdzie dziennikarzy, że formuła ta nie obejmuje ani Poznańskiego, ani Pomorza, ani też Austrii, korespondent FAZ dodaje jednak, że zapewnienia tego nie dało delegatom zgromadzonym na kongresie. Nie trudno wyobrazić sobie, jak rozwijanie tego skrajnego programu rewizjonistycznego wyglądać będzie na wiecach przedwyborczych w ustach lokalnych mówców i kandydatów BHE.

Za BHE stoi jedna z organizacji uchodźców, „Bund der Vertriebenen Deutschen” (BVH). Prezes tego związku, dr Linus Kather, katolik z Królewca, zdaje się być głównym inspiratorem tego maksymalnego programu rewizjonistycznego, wprowadzającego innych — bynajmniej nie rezygnacyjnie na-

stawionych — polityków niemieckich w zrozumiałe zakłopotanie. Co się w istocie kryje za rezolucjami BHE i jak sobie rewizjoniści spod znaku BHE i BVD wyobrażają przyszłość nowego „porządku wschodnio-europejskiego”, dowiedzieć się można z biuletynu informacyjnego BVD „Vertriebenen - Korrespondenz” z dnia 30 kwietnia (nr 11). W biuletynie tym ogłasza dr Günter Decker dwa nawiązanie też w sprawie zjednoczenia Niemiec, wyrażających — jak wynika ze wstępnego komentarza redakcyjnego — oficjalne stanowisko BVD.

Pomijając tezy o charakterze ogólnym i zawierające znane na ogół sformułowania, przypominające stanowisko i innych partii politycznych, zajmijmy się jedynie tylko tymi, które bezpośrednio dotyczą sprawy granicy i spraw polskich. „Aneksje” wschodnich prowincji, należących do przedwojennej Rzeszy, jak i wysiedlenie ludności niemieckiej, nazywane się u nich bezprawiem. Podnosi się „niezaprzeczone” prawo wysiedlonych do „kraju ojczystego” (Heimatrecht), a więc prawo do powrotu. „Prawo to — brzmi teza 5 — o ile odnosi się do wysiedlonych z Rzeszy Niemieckiej, oznacza powrót do niemieckiego obszaru państwowego”.

Jest to całkiem inna interpretacja pojęcia „Heimatrecht” aniżeli dana w swoim czasie na łamach katolickiego tygodnika kolonistycznego „Rheinischer Merkur” (patrz: ŻYCIE z dnia 28. 10. 1956, nr 44). Teza 5 mówi w dalszym ciągu: „Granice Rzeszy Niemieckiej obejmują zgodnie z prawem o samostanowieniu narodów poza obszarami w granicach 31 grudnia 1937 Sudety, Kłajpedę i Gdańsk”. Uzupełnienie tego sformułowania daje teza 10, odrzucająca koncepcję wysuwanej w swoim czasie przez kanclerza Adenauera condominiumu i stwierdzająca, że tego rodzaju rozwiązania prowadzą w przeszłości zawsze do tarć a często nawet do wojen. Następuje potem zapewnienie (teza 9), że naród niemiecki dążyć będzie do zjednoczenia tylko

przy pomocy środków pokojowych, że wysiedleńcy rezygnują „z zemsty i odwetu” i że wypowiadają się przeciwko każdemu nowemu wysiedleniu ludności w Europie. Odnosi się to oczywiście do polskiej ludności, osiedlonej na obszarze Ziemi Odzyskanych i ma widocznie na celu — podobnie jak „rezygnacja z zemsty i odwetu” — wykazanie niezwyklej „wspaniałomyślności” Niemców. Ale zastanawiające jest w związku z tym brzmienie tezy 11, która powiada, że na tych obszarach środkowo-wschodniej Europy, na których zamieszkują różne narodowości i których rozgraniczenie nie jest przede wszystkim, powinna istnieć i być zagwarantowana ochrona ich praw narodowych. Postulat ten „nie odnosi się jednak do obszarów wschodnich Rzeszy Niemieckiej”.

Innymi słowy: Ziemię Odzyskaną mają wrócić do Niemiec, osiedlona tam ludność polska może łaskawie pozostać, praw narodowo-kulturalnych posiadać jednak nie będzie. Tak samo jak nie posiada ich autochtoniczna ludność polska tych obszarów. Prawa narodowe przysługiwać będą tylko Niemcom w Polsce. Oto nowa odmiana polityki „Herrenvolku” i „Untermenschów”. Oto „nowy porządek europejski”, którym częstują nas wodzowie BHE i BVD, rzecznicy nowego wyznania „Deutsch-Europa”.

Po zagwarantowaniu uprzywilejowanej pozycji Niemcom w „zjednoczonej Europie” przewidują łaskawie pozostałe tezy BVD prawo samostanowienia także dla innych narodów wschodnio-europejskich, sąsiadom swoim na wschodzie gotowi są nawet udzielić pomocy gospodarczej (sic!), jeśli ci uznają „prawa” narodu niemieckiego. — A na zakończenie jeszcze apel do „wolnych narodów” świata, by program ten poparli i naprawili krzywdę, jaką wielkie mocarstwa wyrządziły narodowi niemieckiemu przez wprowadzenie podziału.

Program, zawarty w wyżej przytoczonych „tezach”, wskazuje na to, że wysiedleńcy zde-



W kościele Capranica w Rzymie, podobnie jak i w wielu innych kościołach włoskich, odprawiono żałobne nabożeństwo za duszę Mussoliniego w dwunastą rocznicę jego zamordowania. Neofaszyści włoscy — pomiędzy liczne świece wotywne wstawili portret byłego dyktatora Włoch

cydowani są odwołać się do najprymitywniejszych pokłałów szowinizmu narodowego, że gotowi są rozhuścić najbardziej niebezpieczne namiętności, byle za wszelką cenę zdobyć potrzebną ilość głosów do ponownego wejścia do Bundestagu. Wspomniane „tezy” dają przedsmak postawy politycznej BHE, gdyby posłom tej partii przypadła rola decydująca przy tworzeniu nowego rządu niemieckiego (co nie jest tak całkiem wykluczone).

Jak zachowają się wielkie partie Narodowej Republiki Federalnej wobec ogłoszenia tego programu, czy dadzą się wciągnąć na śliską drogę licytacji nacjonalistycznej? — Należy mieć nadzieję, że nie. Socjaldemokraci odcięli się (poprzez oświadczenie swego prezesa Ollenhauera) w sposób zdecydowany od tak szowinistycznie pomyślanego programu, wyrażając obawę, że kroczenie po tej drodze doprowadzić może do najdzikszych wybrzyków nacjonalizmu niemieckiego. CDU również odrzuciła program aneksji Sudetów i Klajpedy. Ze strony żadnej z tych partii jednak nie ma dotychczas stanowczego potępienia wybrzyków BHE, który — mimo wszystko — byłby chętnie widziany, jeśli znajdzie tego potrzeba, jako partner koalicyjny.

Trzeba tu dodać, że poważna prasa potępiała w komentarzach swoich do kongresu program maksymalistyczny BHE, pytając słusznie, w jaki sposób ma on ułatwić realizację zjednoczenia, które stanowi punkt wyjściowy niemieckiej racji stanu. Co uczyni Związek Ziomkostw, znajdujący się pod wpływami CDU i walczący z BVD pana Kathera, a więc pragnąc głosy uchodźców skupić na listach CDU? Inicjatywa Ziomkostw eliminowania sprawy granicy z propagandy wyborczej (p. ZYCIE nr 10 z dnia 10.3.57) osiągnęła efekt wycie odwrótny od zamierzonego, BHE i BVD starają się o to, żeby wybory odbywały się we wrześniu pod hasłem „zurück zum Grossdeutschen Reich”. — Dla nas chyba lepiej, że ujawnia się wcześniej istotne oblicze rewizjonizmu niemieckiego. Widzi się przynajmniej, jak w praktyce wyglądają gesty „rezygnacji z zemsty i odwetu” uchodźców niemieckich. Wybory wykazały, co o tym myślą masy społeczeństwa niemieckiego.

St. Czechanowski

SENSACJE PRASOWE

Wspomnieliśmy w poprzednich artykułach o zachętach, jakie spotkały z strony Amerykanów Niemcy zachodnie, by zainteresowały się bliżej sprawami Środkowego Wschodu. Była mowa o możliwości wielkich inwestycji, pomocy dla nieuprzedmiotowionych narodów, pomocy ze strony „neutralnej”. Ciężki przemysł niemiecki ma kapitały, które mogłyby być z pożytkiem inwestowane właśnie na Środkowym Wschodzie.

Rada była zdawało się dobra, lecz nie wiadomo, czy ci, którzy doradzali, będą zadowoleni z zastosowania jej w praktyce.

Niedługo po pobycie komisji amerykańskiej, złożonej z najwyższych głów senatorów USA, kanclerz Niemiec zachodnich, sam Adenauer, polecił z paradniową wizytą do szacha perskiego. Wizyta była ściśle przyjacielska, bynajmniej nie polityczna — jak podały pisma niemieckie. Zarówno prasa amerykańska, jak i angielska, wyrażały się o niej jednak z najwyższą niechęcią. Artykuły nie były łagodne, przeciwnie — bardzo ostre. I tak np. „Observer” nazwał wizytę Adenauera w Persji próbą odtworzenia sławnej „osi” hitlerowskiej Berlin-Tokio. Wybuchło to wszystko tak nagle, że warto przyrzeć się całej sprawie z nieco innej, może i nie tak bardzo politycznej strony. Skądże nagle to Tokio? Gdzie Teheran, a gdzie Fudzi-

jama? Poza tym, świat się przecież zmienił bądź co bądź nieco od czasów Hitlera.

Zdaje się, że dzięki prasie szwajcarskiej, niemieckiej i mniej powściągliwej w odkrywaniu właściwych faktów — amerykańskiej, prawda zaczyna pomalutku wychodzić na jaw. Chodzi tu nie o oś polityczną — lecz o rzecz daleko bardziej delikatną, bo o naftę.

Zdarzyło się, że w Persji odkryto ostatnio nowe tereny naftowe. Mają być bajecznie bogate, bogatsze niż arabskie i teksańskie razem wzięte. Leżą zaś wokół małej miejsciny Kum, położonej na północno zachodniej granicy perskiej.

Persja, przed awanturą Mossadęka, cały swój budżet państwowy opierała o dochody z eksploatacji ropy. Po awanturze, mimo iż Mossadęk dawno zniknął z rzeczywistości politycznej, nie można budżetu odbudować. Przede wszystkim dlatego, że o ile przedtem Abadan w rękach angielskich miał poważne dochody, o tyle teraz w rękach koncernu międzynarodowego — daleki jest w swej produkcji od przedmossadękowych czasów. Dlatego tak jest, trudno się dowiedzieć, lecz domyślać się można.

Persja musi szukać nowych dochodów. Sprawa Kum jest sprawą bardzo obiecującą, lecz Persja — słusznie — obawia się oddać eksploatację tych terenów w ręce amerykańsko-angielskiej międzynarodówki naftowej. Chce mieć swoją naftę — dla siebie, i pieniądze z tej nafty — także dla siebie. Co więcej, nie życzy sobie, by produkcja regulowana była w ten sposób jak jest wygodnie Ameryce lub komuś innemu. Lecz pieniądze na eksploatację Kum nie ma. I nikt mu ich nie da. Eksploatacja ropy — to jeszcze głupstwo, lecz transport ropy — to sprawa poważna. Budować zaś nowego rurociągu przez Turcję, która jest państwem nie lubiącym wpływów z zewnątrz, kosztować ma przeszło miliard funtów (dokładnie 1.100.000.000)!

Dotychczas towarzystwa amerykańskie (czytaj: monopolu międzynarodowego) transportowały naftę ze Środkowego Wschodu do Włoch, gdzie kontrolują rafinerie. Tam ropę rafinowano, stamtąd szła benzyna i uboczne produkty na Europę po wysokich cenach dyktowanych przez naftową międzynarodówkę. Włochy chciałyby bardzo mieć także swój udział w korzystnym interesie, w którym ich teren jest zaangażowany. Jednak udziału w zyskach nie mają. Gdyby się udało mieć niezależne od naftowej międzynarodówki dostawy ropy i przerabiać ją w niezależnych rafineriach — załamałyby się monopol cen dotychczas dyktowanych i benzyna, jak i wszelkie produkty ropy, byłyby niewspółmiernie tańsze w całej Europie. Nie należy się więc dziwić, że niektóre pisma angielskie, amerykańskie, może i francuskie, muszą cisnąć gromy.

Kapitał niemiecki jest niezależny, podobnie jak kapitał japoński. Związki międzynarodowe istnieją tu wprawdzie, lecz raczej w dziedzinie stali, nie zaś nafty. Oba te kraje nie posiadały własnej nafty, ani nie dysponowały dotychczas możliwościami ekspansji na naftę zagraniczną. Kiedyś może będą — szczególnie gdy Kum wystrzeli. Niewątpliwie w tym wypadku, biorąc pod uwagę olbrzymie sumy inwestycyjne, nastąpi powiązanie kapitałów wolnych, z kapitałem państwa nad wyraz zainteresowanego — jakim są Włochy, co się stanie przede wszystkim z pożytkiem dla Persji, prawnego właściciela koncesji.

Podobno Adenauer obiecał już szachowi pierwszą pożyczkę wstępną w sumie około 100 milionów funtów.

Pozwolimy sobie też wspomnieć o innej, nad wyraz interesującej sprawie. Specjalna komisja Kongresu amerykańskiego bada w tej chwili wypadki inwestycji obcokrajowych kapitałów w przemyśle Stanów Zjednoczonych. Szczególnie, jeżeli chodzi o przemysł związany ze zbrojeniem. Istnieje bowiem poważne podejrzenie, że Rosja, przy pomocy pośredników, zwłaszcza neutralnych, najchętniej Szwajcarów, stara się mieć swój wpływ drogą ukrytych inwestycji na rozwój przemysłu zbrojeniowego w Ameryce, by uzyskać choćby częściową jego kontrolę. Już wstępne dochodzenia wykazały, że zainwestowano w nim z zewnątrz, głównie właśnie pod nazwiskami obywateli szwajcarskich, kapitał o wysokości ni mniej ni więcej tylko 26 miliardów dolarów. Badania wykazały również, że o tych właśnie obywatelach szwajcarskich Szwajcaria nie może udzielić żadnych bliższych informacji. Są po prostu niezłani.

Prasa amerykańska i niemiecka („Der Spiegel”, nr 15 z 10.4.br.) mówi o niezwykłej i po prostu żenującej aferze, z której by wynikało, że ktoś w Austrii usiłował zrobić dobry interes na przebywających tam bezdomnych uchodźcach węgierskich. Sprawa wyszła na światło dzienne, gdy zginęło w tajemniczy sposób 30.000 śpiworów przesłanych przez Stany Zjednoczone do Austrii razem z całym ekwipunkiem przeznaczonym dla 200 tysięcy Węgrów, i gdy w tym samym czasie Austria zwróciła się do Stanów Zjednoczonych o dalszą pomoc dla Węgrów, którzy są pod jej opieką.

Po skonstataowanym tajemniczym ubytku 30.000 śpiworów jeden z młodych parlamentarzystów austriackich zaatakował rząd w tej sprawie. Prosił o wyjaśnienie, dlaczego uchodźcy węgierscy w obozach nadal chodzą w lachmanach, podczas gdy USA przysłało dla nich pełny ekwipunek na 200 tysięcy osób, chociaż w Austrii przebywa tylko 170 tysięcy uchodźców z Węgier. Zapytał, czy rząd wie o tym, że w Wiedniu zwiększyła się nagle ilość sklepów handlujących „odzieżą z demobu” amerykańskiego?

Wyłożywszy zaś to wszystko młody poseł dodał, że państwo austriackie nie dało dotychczas ani grosza na tych uchodźców z własnej kieszeni i nie wszystko z cudzej. Bowiem w kasach austriackich znalazło się z zewnątrz 160 milionów szylingów (austr.) ponad przewidziane sumy budżetowe.

Czyżby to było prawda? W prasie światowej znalazły się głosy krytyki, jeżeli chodzi o pomoc uchodźcom węgierskim właśnie w Austrii. Według tych doniesień, jest niezaprzeczalnym faktem, że rząd austriacki otrzymał i otrzymuje sumę 54 szylingów austr. dziennie na uchodźczą głowę. Minister skarbu przyznał się jednak w mowie oficjalnej, że dzienny wydatek na uchodźcę wynosi 22 szyl. austr.

Gdzie reszta? Jest to podobno także faktem, że proponowany, bardzo praktyczny plan rozprawienia młodzieży z obozów i stworzenia im normalnego życia, nawet i w Austrii napotyka na trudności właśnie z ministerialnych kół fiskalnych. Jest rzeczą jasną, że pieniądze wpływające via „Charitas” do skarbu austriackiego, przestałyby z tą chwilą zasilać kasy oficjalne.

W każdym razie jest niezmiernie ciekawe, czy owe 30 tysięcy śpiworów znalazło się czy nie i w jaki sposób te poważne zarzuty będą wysłuchane. Stany Zjednoczone oświadczyły, że są gotowe kontynuować pomoc, lecz pod warunkiem, że uprzednio przeprowadzą w tej i innych sprawach dochodzenia na terenie obozów uchodźczych...

M. Liss

OBRADY W STRASBURGU

Pod skrótem ACEN kryje się nazwa Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarmionych, do którego należą przedstawicielstwa emigracji politycznych dziesięciu krajów, tj. Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Estonii, Litwy, Łotwy, Polski, Rumunii i Węgier, oraz szwajcarskiej organizacji międzynarodowych, działających na terenie wyżej wymienionych emigracji, którymi są: Międzynarodowy Ośrodek Wolnych Związków Zawodowców na Uchodźstwie, Unia Chrześcijańska Demokratyczna Europy Środkowej, Unia Demokratyczno-Liberalna Europy Środkowo-Wschodniej, Unia Socjalistyczna Europy Środkowo-Wschodniej, Międzynarodowa Unia Chłopska i Rada Wolnej Młodzieży Europy Środkowo-Wschodniej.

W ubiegłym miesiącu od 26 do 30 kwietnia, obradowała w Strasburgu trzecia sesja nadzwyczajna ACEN. Jej obrady zbiegły się ponownie z sesją Zgromadzenia Doradczego Rady Europy.

Gdy Rada Europy odgrywa rolę wspólnego parlamentu dla państw zachodnio-europejskich, ACEN jest jakby jej dopłnieniem, reprezentacją państw zza żelaznej kurtyny, których emigracyjne ośrodki nie mogą, ze względów natury dyplomatyczno-politycznej, brać udziału w pracach Rady Europy. Toteż wspólność czasu obrad obu organizacji nie jest na pewno przypadkowa. Na obecnej sesji ACEN przemawiało w charakterze gości wielu delegatów na Zgromadzenie Doradcze Rady Europy z jej przewodniczącym, belgijskim senatorem, Ferdynandem Dehousse na czele. Senator Dehousse wyraził swoją solidarność z narodami ujarmionymi i nadzieję na pozytywną zmianę ich sytuacji. Zaznaczył, że choć nie może na tej platformie wypowiadać poglądów wiążących Radę Europy, to może jednak zapewnić o sympatiach tej organizacji i dobrym przyjęciu postulatów ACEN przedłożonych Radzie Europy. Poseł parlamentu Brytyjskiego, członek Partii Pracy, Kenneth Younger mówił o konieczności poparcia dla sprawy użyczenia kredytów Polsce F. J. Goehdarta, posła holenderskiego, wspominając powstanie we wschodnich Niemczech, w Polsce i na Węgrzech, potępił bierną postawę Zachodu. Podkreślił też rolę ACEN w formowaniu opinii Zachodu w odniesieniu do problemów Europy wschodniej. Przemówienie Kurt-Georg Kiesingera, przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Zachodnio-Niemieckiego Bundestagu, było szeroko komentowane w prasie niemieckiej i w kołach politycznych. Mówił on o wspólnocie interesów niemieckich i wschodnio-europejskich. Wspominając sprawę sporów terytorialnych z Czechosłowacją i Polską, wyraził „solenne przyrzeczenie” ze strony rządu niemieckiego, że nie zamierza on kontynuować zaborczych planów Hitlera, ani uciekać się do użycia siły w rozwiązywaniu konfliktów.

W czasie pierwszego dnia obrad plenarnych przemawiał p. Adam Ciołkosz, przewodniczący Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, członek delegacji polskiej, w skład której wchodził ponadto pp. Stefan Korboński, amb. Kajetan Morawski i dr Jan Starzewski, kierownik Działu Spraw Zagranicznych w Egzekutywie Zjednoczenia Narodowego. P. Ciołkosz rozpoczął od przeglądu obecnej sytuacji w świecie komunistycznym, omawiając proces przemian, który był zapoczątkowany przewrotem Tity. Podkreślił specjalnie rolę komunizmu chińskiego zarówno w odniesieniu do ostatnich wypadków w Polsce, jak również jako siły, która choć nigdy nie zwró-

ci się przeciw Moskwie, nigdy całkowicie się jej nie podporządkuje. Wspominając powstanie na Węgrzech, zaznaczył, że cnotą pozornie Rosja odniosła zwycięstwo, to jednak faktycznie przegrała pod względem moralnym i gospodarczym „tracąc twarz” przed wyznawcami i sympatykami komunizmu w wolnym świecie. Była też zmuszona w wyniku wypadków węgierskich i polskich do udzielenia satelitom pewnych koncesji gospodarczych, zamiast jak dotąd ciągnąć z nich tylko zyski. Prócz tego, jasne się stało, że Moskwa nie może liczyć na armie satelickie i że są one dla niej raczej obciążeniem a nie atutem.

Przechodząc do omówienia wypadków październikowych w Polsce, p. Ciołkosz stwierdził, że zmiany tam zaszły nie są w jego pojęciu odwracalne, i że komunizm pojawił się w Polsce wielką klęską. Jednak sytuacja Polski, wliczonej pomiędzy Rosję i ortodoksyjnie stalinowskie Czechy i Niemcy wschodnie, jest nadal bardzo trudna. Pierwszym celem Polski jest teraz uwolnienie się od „opieki” rosyjskiej i uzyskanie gwarancji co do granicy zachodniej. Podkreślając nierozważność sprawy zjednoczenia Niemiec ze sprawą uwolnienia narodów ujarmionych, przedstawił plan, w którym na wstępie zaznaczył, że Rosja ze względu na własne interesy, nigdy nie zgodzi się na zjednoczenie Niemiec bez uprzedniego ustalenia granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie. Dalszym punktem byłaby neutralizacja Niemiec, przez wycofanie się wojsk zarówno alianckich jak i sowieckich. Armie sowieckie muszą również wycofać się z innych krajów za żelazną kurtyną, aby umożliwić odbycie się w nich wolnych wyborów. Następnie kraje Europy wschodniej powinny zwrócić się do celów współpracy gospodarczej oraz stworzenia wspólnego systemu bezpieczeństwa z udziałem krajów zachodnio-europejskich, Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego. Kończąc prez. Ciołkosz nawiązał ponownie do obecnej sytuacji w Polsce, stwierdzając, że choć emigracja polityczna wita z radością pewne jej polepszenie, to jednak Polska jest

nadal krajem ujarzmionym i emigracja ma obowiązek prowadzenia nadal walki o pełną wolność swego kraju.

W dalszych obradach Zgromadzenie uchwaliło rezolucje poruszające między innymi sprawę współpracy między emigracjami politycznymi, pomoc dla kulturalnych instytucji emigracyjnych, sprawę włączenia uchodźczych profesorów i studentów do istniejącego programu wymiany uniwersyteckiej. Specjalną uwagę poświęcono problemowi uchodźców politycznych, tak „dawnych” jak i „nowych”, apelując o ułatwienie im emigracji i ustalenie sprawy „travel documentów” i wiz. Zgromadzenie uchwaliło tekst depeszy do p. Dag Hammarskjöelda w sprawie wykonania uchwał Narodów Zjednoczonych w odniesieniu do sytuacji na Węgrzech, oraz tekst odezwy do narodów ujarzmionych.

Uczestnicy delegacji polskiej, z których P. Starzewski przewodniczył na jednym z posiedzeń plenarnych, z amb. Morawskim w komisji do spraw scalenia Europy, zabierali wielokrotnie głos w dyskusji wyjaśniając stanowisko polskie. Do rezolucji zatytułowanej „Osвобождение Народов Европы Środkowo-Wschodniej” wprowadzone zostały polskie poprawki odnośnie tak bardzo specyficznej obecnie sytuacji w Polsce i wynikających stąd konsekwencji w zakresie udzielenia jej niezbędnej pomocy gospodarczej.

Reasumując tegoroczne obrady sesji A. C. E. N. powiedzieć można, że organizacja ta przez działalność czysto propagandową ma też możliwość stania się platformą pracy konkretnej, opartej na realnej koniunkturze. Znaczenie propagandy jest duże, gdyż opinie wyrażone na obradach ACEN znajdują bądź co bądź większy odźwięk w prasie i opinii wolnego świata, niż prace podejmowane w zamkniętych kołach poszczególnych emigracji. Takie i współpraca emigracji między sobą, choć z natury rzeczy ograniczona, zawiera jednak duże korzyści, a wzajemne zbliżenie może być podstawą dla przyszłej działalności wolnych już państw.



Delegacja polska w Strasburgu

KOMUNIZM OTAMOWANY

Energiczna akcja króla Husseina zahamowała próby przewrotu w Jordani, zasilane z jednej strony przez miejscowy komunizm i dywersję sowiecką, a z drugiej przez wysiłki Egiptu i Syrii, by Jordania stanęła po ich stronie we frontie anty-zachodnim. Zwycięstwo Husseina jest o tyle dodatnim zjawiskiem, że młody król i jego zwolennicy nie zamierzają „kapitulować” na rzecz wpływów amerykańskich, a po prostu przeciwstawili się zamieszkom, które groziły bezpieczeństwu publicznemu, i wystąpili przeciwko próbom podporządkowania kraju wpływom sowieckim.

Arabia Saudyjska udzieliła pełnego poparcia królowi Husseinowi w jego walce z komunizmem i sowiecką dywersją. Spotkania Husseina z Saudem, a następnie pierwsza wizyta króla Sauda w Iraku i jego spotkanie z królem Fejsalem, przypieczętowały przymierze trzech państw arabskich, zdecydowanych nie dopuścić do rozszerzenia się „kolonializmu” sowieckiego na kraje Środkowego Wschodu. Arabia Saudyjska, Jordania i Irak doszły również do wniosku, że należy przeciwstawić się wojowniczym zamierzeniom „imperializmu” egipskiego, wspieranego przez sryjskiego prezydenta Kuwalty, w którym sąsiedzi widzą coraz oczywiste narzędzie sowieckiej polityki. — Stanowisko Stanów Zjednoczonych, którego wyrazem jest podróż ambasadora Richardsa, ofiarowującego pomoc gospodarczą dla ludności tych krajów, bez stawiania warunków politycznych i z pełnym poszanowaniem niezależności narodowej, powoli zjednywa sobie uznanie.

W piśmie bagdadzkim „Al Urdon” ogłoszony został artykuł, który daje wyraz temu nastawieniu: „Lud Jordanii — pisze „Al Urdon” — chce wiedzieć prawdę o spisku, którego celem było dokonanie przewrotu w jego kraju. Spisek ten, przygotowany przez międzynarodowy komunizm, dążył również do przewrotu w Arabii Saudyjskiej, w Iraku i w Libii... Egipt popierał te dążenia, by po obaleniu dynastii doprowadzić do powstania republiki pod przewodnictwem Egiptu. Ta polityka była zgodna z celami Związku Sowieckiego i międzynarodowego komunizmu; jej wyrazem była sowiecka działalność szpiegowska i dywersja w świecie arabskim...” Pismo podaje wiele szczegółów odsłaniających kulisy manewru sowieckiego, które kompromitują placówki dyplomatyczne sowieckie w krajach Środkowego Wschodu i wskazują na zasięg penetracji sowieckiej w Syrii oraz związku tej akcji z Egiptem.

Udaremnienie planów komunistycznych jest negatywną częścią zadań stojących przed rządami tych krajów. Chodzi teraz i później, by rzetelny wysiłek w kierunku poprawienia dołu ludności, gospodarczego i kulturalnego rozwoju mas oraz współpraca z siłami pokój w świecie, usunęły te wszystkie zaniechania, na których żeruje propaganda komunistyczna: nędzę i wyzysk ludności, korupcję rządzących kół i ambicje lokalnych i międzynarodowych interesów gospodarczych i politycznych.

SUEZ

Decyzja rządu brytyjskiego, zezwalająca statkom brytyjskim na używanie Kanału Sueskiego na warunkach ustalonych przez rząd egipski, jest uznaniem stanu dokonanego pod naciskiem konieczności. Wielka Brytania pod kierownictwem premiera Macmillana postanowiła likwidować skutki egipskiej awantury; postanowienie to jest słuszne i należy do tych ustępstw, które na dłuższą

metę prowadzą do wzmocnienia prestiżu, jak każde odważne zdanie sobie sprawy z rzeczywistości.

Stanowisko brytyjskie przerzuca teraz ciężar odpowiedzialności na rząd Nasserza za dotrzymanie zapowiedzi, że Egipt poczuwa się do ciężących na nim obowiązków w myśl jednostronnych deklaracji złożonych w ONZ.

Nie przeszło bezboleśnie. W szeregach konserwatystów powstał rozłam, który nie zagraża rządowi bezpośrednio, ale świadczy o nasileniu nastrojów wojowniczych w partii i podkreśla słuszność stanowiska zajętego od początku kryzysu przez opozycję laburzystowską. — W debacie, 14 posłów konserwatywnych odmówiło poparcia rządowi, który bronić się musiał przed silnym natarciem krytyki opozycyjnej.

Nowa sytuacja wywołuje przegrupowanie na terenie międzynarodowym. Egipt zareagował pozytywnie na decyzję brytyjską, natomiast ustępstwa Londynu musiały wywołać rozżalenie Izraela o tyle zrozumiałe, że słuszne żądania swobodnego korzystania z kanału przez statki izraelskie nie zostały jeszcze przez Egipt uznane. — Popularność Ameryki w Egipcie maleje, gdyż Stany Zjednoczone — jak najsluszniej zresztą — wywierają nadal nacisk na rząd egipski w kierunku wywiązania się z międzynarodowych zobowiązań. Przejazd amerykańskiej cysterny przez cieśninę tirańską z naftą dla izraelskiego portu Eilat, był demonstracją, stwierdzającą iż Ameryka zamierza podtrzymać Izraela w sprawach korzystania z żeglugi przez zatokę Akaba.

Współniczka Wielkiej Brytanii w akcji sueskiej, Francja — ustosunkowała się niechętnie do ustępstw brytyjskich. Rząd premiera Molleta podał się demonstracyjnie do dymisji, nie przyjętej zresztą przez prezydenta Coty. Francja postanowiła zwrócić się do Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych z żądaniem by Rada wymogła na Egipcie stosowanie się do sześciu zasad ustalonych przez Narody Zjednoczone dla uregulowania kryzysu sueskiego. Zasady te są następujące: 1) wolny i swobodny przejazd przez kanał, bez żadnych dyskryminacji; 2) uszanowanie suwerenności Egiptu; 3) usunięcie zarządzania kanałem spod wpływów politycznych jakiegokolwiek państwa; 4) odpłacanie należności za korzystanie z kanału zgodnie z życzeniami Egiptu i użytkowników kanału; 5) przeznaczanie odpowiedniej części dochodów na utrzymanie i ulepszanie urządzeń technicznych kanału; 6) załatwienie w drodze arbitrażu pozostałych sporów między rządem egipskim i Kompanią Kanału Sueskiego.

Rząd brytyjski wyraźnie stwierdził, że ustępstwa, na które się obecnie zdecydował, nie oznaczają, iż rezygnuje ze starań o ochronę interesów wszystkich poszkodowanych i z uzyskania korzystniejszego załatwienia całości sprawy w porozumieniu z Egiptem. Akcją rządu francuskiego wobec ONZ, którą gabinet londyński obiecał poprzeć, będzie nacisk na Egipt, przy czym jednak Francja nie wyzka się polubownego rozwiązania. Stany Zjednoczone przeciwstawiają się zaostreniu sporu, ale będą nalegać na Egipt, by szanował uprawnienia użytkowników, włącznie z Izraelem. — Jeżeli oskarżenia rzucane na Egipt i jego prezydenta mają się okazać bezpodstawne, czy nawet tylko przesadne, to teraz właśnie płk Nasser ma doskonałą okazję, by — po osiągnięciu sukcesu — wykazać rozsądek, umiarkowanie i poszanowanie tych zasad współżycia międzynarodowego, na które się Egipt powoływał, gdy protestował przeciwko francusko-brytyjskiej i izraelskiej agresji.

RAPTULARZ WYDARZEŃ

1 maja —

* W ZGROMADZENIU RADY EUROPY w Strasburgu, Wielka Brytania zaproponowała utworzenie jednego zgromadzenia doradczego, wspólnego dla wszystkich istniejących organizacji europejskich.

* OBCHODY 1-majowe miały w Związku Sowieckim i w Niemczech wschodnich charakter przede wszystkim militarny. Na Węgrzech Kadar groził zastosowaniem większego terroru. W Polsce Gomułka żądał większej dyscypliny i większej wydajności pracy.

* POMOC Stanów Zjednoczonych dla Polski ma wynieść około 95 milionów dolarów — donoszą nieoficjalnie z Waszyngtonu.

2 maja —

* RADA NATO rozpoczęła swe obrady w Bonn; przy tej okazji Adenauer wypowiedział się ponownie przeciw neutralizacji Niemiec.

* GAITSKELL oświadczył w Zgromadzeniu Rady Europy, że jego plan neutralizacji Niemiec, Polski, Czechosłowacji i Węgier nie oznacza konieczności rozwiązania NATO, ani też wystąpienia krajów Europy wschodniej z Sojuszu Warszawskiego.

* GRECJA opowiadała się za doktryną Eisenhowera dla Bliskiego Wschodu.

* CYRANKIEWICZ przybył do Pragi celem odbycia rozmów politycznych i gospodarczych.

3 maja —

* RADA NATO zakończyła swe zebranie w Bonn; podkreślono zagrożenie ze strony Związku Sowieckiego, konieczność wyposażenia sił zbrojnych w broń atomową i konieczność zjednoczenia Niemiec; wspomniano, że „brutalne represje” na Węgrzech utrudniają poprawę stosunków ze Związkiem Sowieckim.

* OLLENHAUER oświadczył, że jeśli partia socjalistyczna wygra wybory, niemieckie siły zbrojne nie będą uzbrojone w broń atomową, a ponadto Niemcy zachodnie sprzeciwiają się posiadaniu tej broni przez wojska amerykańskie, znajdujące się w tym kraju.

* SZÓSTA FLOTA amerykańska odpływa w swej większości ze wschodniej części Morza Śródziemnego.

* PIERWUCHIN został zwolniony ze stanowiska przewodniczącego Państwowej Komisji Gospodarczej w Związku Sowieckim.

4 maja —

* SMIRNOW, ambasador sowiecki w Bonn, zaproponował Adenauerowi złożenie wyraźnej deklaracji, że Niemcy zachodnie nie będą posiadać broni atomowej i nie zezwolą by posiadały ją inne wojska stacjonujące na ich terenie.

5 maja —

* RZĄD NIEMIEC zachodnich odpowiedział na propozycję Smirnowa, że jest ona nie na miejscu wobec stanowiska Związku Sowieckiego w sprawach rozbrojenia.

* W AUSTRII wicekanclerz dr Adolf Schaerf (socjalista) został wybrany prezydentem Republiki.

* JÓZEF KUZMIN, postać dotychczas prawie nieznaną, został pierwszym wicepremierem Związku Sowieckiego i przewodniczącym państwowej komisji planowania (Gosplan).

POLACY W ŚWIECIE

HALLO! TU MÓWI BRAZYLIA!

Cztery lata temu prof. Temistocles Linhares napisał książkę pt. „O Parana Vivo”. Książka przeszła wśród Polaków bez większego echa, chociaż uczony profesor przygodał polskim emigrantom wcale szpetnie, zarzucając im m. in. wadami skrajny nacjonalizm, polegający na tym, że w czasie wyborów głosują zawsze tylko na kandydatów polskiego pochodzenia.

Różne są w Brazylii wybory, bo konstytucja brazylijska przewiduje, że nie tylko prezydent i gubernator stanu, ale również „prefeito”, czyli szef powiatu, zwanego tu „município” otrzymuje władzę nie w drodze nominacji z ministerstwa lub z urzędu gubernatorskiego, lecz z wyborów. Kandydatów do wyborów municypalnych przedstawiają partie polityczne tak samo jak kandydatów na prezydenta.

Gdyby prof. Linhares sprawdził wyniki wyborów municypalnych w stanie Parana, dowiedziałaby się wielu ciekawych rzeczy. W takim np. municypium Contenda w pobliżu Kurytyby przewagę polskich głosów wybrany został prefektem rodowity Brazylianie. Z braku polskich głosów przegrał wybory wcale zasłużony kandydat polskiego pochodzenia. Na taki wynik wyborów wpłynęło wiele czynników — a ostatecznie przypisać to należy faktowi, że Polacy, a ściślej mówiąc Brazylianie polskiego pochodzenia włączyli się już prawie bez reszty w nurt brazylijskiego życia i brazylijskiego ustroju. Nastąpiło to już dawno. Gdyby prof. Linhares miał słuszną, Parana miałaby już wielu posłów pochodzenia polskiego tak w federalnej jak w stanowej Izbie Deputowanych. Tymczasem w Rio reprezentuje Parana tylko jeden poseł polskiego pochodzenia: Leszek Bronisław Ostoja Roguski. W Kurytybie zasiada tylko dwóch posłów stanowych: dr Edvino Tempiski i p. Sobociński. Wziąwszy pod uwagę liczbę wyborców — posłów polskiego pochodzenia jest bardzo mało. Wyborcy oddają swe głosy nie na „Polaka”, tylko na kandydata reprezentującego odpowiednią partię i „odpowiedni” (nie zawsze naprawdę odpowiedni) program.



Kurytyba, centrum miasta z drapaczami chmur i uniwersyteciem

Ale nie schodzimy na tory polityczne, zawsze i wszędzie niezbyt łatwe do omawiania. Chodzi nie o politykę, tylko o stwierdzenie faktu, że Polacy w Brazylii są już Brazylijanami polskiego pochodzenia i myślą kategoriami brazylijskimi. Mowa oczywiście o emigrantach dobrze już zasiedziających, przeważnie o synach i wnukach (prawników już tysiące, ale może jeszcze nie dorośli do głosowania) emigranckich.

Emigranci i koloniści. W języku potocznym nie roszczącym sobie pretensji do ścisłości, dzieli się tu wychodźców polskich na dwie kategorie: emigrantów i kolonistów. Emigrantami nazywa się przybyszów powojennych, zwłaszcza tych, którzy się osiedlili po miastach. Kolonistą jest wychodźca mieszkający na kolonii i pracujący na roli.

Większość naszych wychodźców należy do kategorii kolonistów. Osiedlali się na roli, a raczej stwarzali rolę karczując lasy. Przybywali tu falami, nie wiadomo dokładnie od jakiego czasu. Byli wśród pierwszych osadników niemieckich przyjeżdżających już około roku 1828. Przybyło ich wielu około roku

1850. w roku 1853 gromadka tych ludzi odłączyła się od Niemców w stanie Santa Catarina i pod kierunkiem Saporskiego stworzyła pierwszą kolonijkę polską pod Kurytybą. Większe osady powstały wiankiem dokonała Kurytyby w roku 1875. Gorączka emigracyjna z lat 1889-91 sprowadziła tu dziesiątki tysięcy chłopów przeważnie spod zaboru austriackiego, ale ci poszli dalej na zachód i na południe tworząc drugi, nie zamknięty w całe koło, wianek w odległości około 100 kilometrów od Kurytyby. Byli to ludzie, o których pisał Dygasiński w powieści „Na złamaniu karku i Konopnicka w „Panu Balcerze”.

Dzisiaj pierwszy wianek kolonii polskich już zaczyna się zrastać z miastem Kurytybą, które w ostatnich dziesiątkach lat rośnie bardzo szybko. Drugi wianek zlewa się z ludnością brazylijską i rozplywa się po zachodnich przestrzeniach Parany, kolonizowanej coraz dalej i dalej. Synowie nie zostają na kolonii, nie dzieli się ojcowskich posiadłości — ziemi dość, tylko iść dalej, rąbać lasy i tworzyć nowe kolonie.

Oczywiście po fali „gorączki emigracyjnej” wychodźcy przyjeżdżali tu rok za rokiem. Wielu przyniosła tu rewolucja z roku 1905, znajdzie się i taki, co to po przewrocie majowym w Kraju zostać nie chciał, znajdzie się wreszcie ostatnia grupa emigrantów powojennych. Ci ostatni poszli do Sao Paulo, gdzie w fabrykach znaleźli zajęcie i dobrą płacę. Tylko garstka ich została w Kurytybie. Nie wszyscy osiedlili się w Paranie — wielu poszło do sąsiednich stanów (Santa Catarina, Rio Grande, Sao Paulo), mniejsze skupiska poszły nawet do stanu Espirito Santo, gdzie już „cieplej”. Koloniści podmiejscy z Pilarzinhos, z Santa Candia, z Abranches, z Orleansu przestali już właściwie być „kolonistami” — bo zamiast uprawiać ziemię, sprzedają ją na „loty” i pracują w mieście jako dobrze płatni murarze i stolarze.

W Kurytybie mieszka podobno około 30 tysięcy ludzi polskiego pochodzenia. Można jednak przejść całe miasto wzdłuż i wszerz i nie usłyszy się polskiej mowy. Polsko brzmiące nazwiska właścicieli sklepów nie zawsze są nazwiskami Polaków, bo wielu takich pochodzi ze Śląska i nie przynaję się do polskości, a umie tylko język niemiecki i portugalski.



PARANA:

Pinior brazylijski

(Dokończenie na str. 20)

O SZCZERBCU SŁÓW KILKA

Napisał TADEUSZ ZIARSKI

W chwili, kiedy w przygotowaniu jest monografia skarbow wawelskich, zdeponowanych w Kanadzie i gdy na emigracji krąży uporczywe pogłoski o możliwości przekazania tych zabytków reżymowi w Polsce, warto jest przypomnieć pewne fakty o niewątpliwie największym, historycznym skarbie — mieczu koronacyjnym, tak zwanym Szczerbcu.

Podkreślić raz jeszcze: t a k z w a n y m Szczerbcu. Dla uczonych i historyków przytoczone fakty nie będą nowością. Dla innych mogą być rewelacją i zburzeniem szkolnych wiadomości i tradycyjnych, przepojonych sentymentem, pojęć. Przede wszystkim dwa historyczne stwierdzenia: „Szczerbiec” nie jest właściwym Szczerbcem; opis tak zwanego Szczerbca w obecnym stanie, stawia pod znakiem zapytania jego pierwszorzędą wartość historyczną, szczególnie w o-bliczu „dodatku” pochodzących z pewnością dopiero z ubiegłego stulecia.

O oryginalnym Szczerbcu znajdujemy wzmianki w kronikach z 1250 roku, gdzie miecz, tradycyjnie należący do Bolesława Chrobrego z wyprawy kijowskiej w 1019 roku, nazywany jest „Szczyrbek”. Pięciu królów z rodu Piasta — od Chrobrego w 1025 roku w Gnieźnie do Przemysława Wielkopolskiego w 1295 roku, używało Szczerbca przy koronacjach. Przemysław został zamordowany 8 lutego 1296 roku w Rogoźnie. Podczas dalszych walk dzielnicowych, insygnia królewskie przypadły. Zaginięcie jest przypisywane okresowi rządów Wacława, króla polskiego i czeskiego w 1300 roku.

Pobity i wygnany z kraju Władysław Łokietek, łącząc po powrocie dzielnice, powziął decyzję koronacji w 1320 roku. Stał wówczas przed problemem braku insygniów królewskich i nakazał sporządzenie nowych, które używane były następnie przez blisko pięć wieków. Wśród insygniów sporządzony został i był używany nowy „Szczerbiec”. Wiadomo, że Łokietek otrzymał miecz po wuju Bolesława, synu Konrada Mazowieckiego, który sprowadził zakon krzyżacki do Polski w latach 1226-1230.

Nic więc dziwnego, że miecz z pewnością jest pochodzenia krzyżackiego, dzieło sztuki z XIII wieku. Piękny, mały i lekki miecz odznacza się szczególnie starannym, artystycznym wykonaniem.

Styl miecz jest jeszcze romański, chociaż kształt rękojeści wymaga wyjaśnienia. Krzyż stanowią z reguły formę przybieraną dla miecza rycerza chrześcijańskiego. Uczestnicy pierwszych wypraw krzyżowych używali broni o tym kształcie. W walkach z Saracenami miecz taki okazał się niedogodny. Saraceni sejmity, szybkie i zwinne, przewyższały chrześcijańskie ciężkie miecze i po pewnym czasie i dotkliwych stratach, wielu krzyżowców odgięło jęcze mieczow ku dołowi, czyniąc je łukowato zagiętymi. Taki kształt mają jęcze Szczerbca, krzyżackiego miecza, wykonanego na wzór wcześniejszej broni zakonu.

Ozdoby na szczerbcu wskazują na jego specjalny cel. Rękojeść obłożona jest złocistymi blaszkami i wyrzeźbione są w niej napisy, ozdoby i figury, wypełnione czarną masą. Masa, tzw. niella, daje efekt czarnych rysunków na złotym tle. Na gałce płaskiej, na końcu rękojeści, są greckie litery — alfa i omega oraz znaki krzyża i wielkie T rozdziela litery alfa i Omega. Alfa i Omega normalnie oznaczają Chrystusa, stosownie do Apokalipsy św. Jana: „Ego sum Alpha et Omega, principium et

finis. Litera T prawdopodobnie odnosiła się do zakonu teutońskiego, chociaż jest to tylko przypuszczenie. Napis wokół gałki — Haec figura valet ad amorem regum et principum iras iudicam — ten znak mówi o miłowaniu królów i sądujących spory książąt.

Stronę odwrotną gałki ozdabia ornamentacja roślinna. Na rękojeści widzimy symbole czterech Ewangelistów, tak często spotykanych na zabytkach tej epoki. Św. Jana przedstawia orzeł w aureoli, pod którym jest napis: IHOANNES. Św. Mateusza — anioł, trzymający przez draperię napis na wstędze: MMATHEVS. Poniżej Baranek Boży w aureoli z triumfalną chorągiewką, z piersi baranka tryska krew. Na odwrotnej stronie rękojeści jest symbol św. Marka — lew skrzydłaty w aureoli z podpisem MARCUS, a pod nim wół w aureoli z podpisem LUCAS, pod którym znów jest Baranek Boży.

Na jęcach przedstawiono te same cztery symbole. Pomimo tak wybornej techniki i mistrzostwa kreacji, poza zakres tych wyobrażeń artysta wyjść nie mógł i nie umiał, skreślony ówczesnymi przepisami dla sztuki. Na obu stronach jęcza wyrzeźbione są napisy: CON. CIT. OMON. CEVE SEDALA. I. EBREHEL. W tłumaczeniu brzmi on: ktokolwiek te imiona Boga I z sobą będzie nosił, nigdy mu nie zaszkodzi niebezpieczeństwo. „I” oznacza literę początkową wyrazu JOI-HEWAW-HE, czyli Jehowa. Jest jeszcze inny napis — tajemniczy, ciemny, prawie kaba-listyczny. Są to hebrajskie słowa, zmienione jednak i przekręcone, imiona Boga, wymieniane w miejscu słowa Jehowa. Żydzi nie wymieniają słowa Jehowa czytając Talmud i widząc je w tekście Starego Testamentu używają innych wyrazów skłaniając przy tym głowę przy wymawianiu ich.

W średniowieczu hebrajskie napisy używane były przez chrześcijan jako amulet i środek nadprzyrodzony i ochraniający. Tym tłumaczyć możemy wyrycie tych słów na Szczerbcu i widniejącą na odwrotnej stronie jęcza przestrożę: „Ktokolwiek te imiona I (tj. Jehowy) będzie z sobą nosił, nie zaszkodzi mu żadne niebezpieczeństwo”.

Dalsze szczegóły dotyczące Szczerbca mogą być tylko podane do opisu jego wyglądu, gdy przechowywany jeszcze był w skarbcu wawelskim przed XVIII wiekiem, lub z jego kopii. To, co dzisiaj widzimy, są to dwie blaszki od rękojeści, pokryte napisami wykonanymi w ostatnim stuleciu we Francji.

Pierwotnie, napis w przybliżeniu brzmiał: Iste est gladius principis et haeredit Boleslai ducis Poloniae et Masoviae et Lanciciae. (To jest miecz monarchy, dziedzica Bolesława księcia polskiego, mazowieckiego i łęczyckiego.) Na odwrotnej stronie był napis o treści: „Bóg pomoże tym mieczem zwyciężać wrogów”.

W końcu XVIII wieku oryginalne napisy były już całkowicie zniszczone. Podczas ostatniej lustracji skarba królewskiego na Wawelu w 1792 roku, członkowie komisji Tadeusz Czacki i Jan Nepomucen Horowicz, spisując inwentarz, włączyli doń i Szczerbiec — po raz ostatni. Podczas postoju Prusaków na Wawelu w 1795 roku, zgineły insygnia, klejnoty koronne i — Szczerbiec.

Zawędrował on do Francji, gdzie nieuczciwi antykwariusze — chcąc uczynić miecz bardziej finansowo wartościowym, nadali mu formę rzekomo dobrze zachowanej broni przez dodanie blaszek z podrobionym napisem. Z dawnej pochwy za Łokietka został

tylko srebrny orzełek na pogłębionym i wypełnionym czarną masą tle.

Pikantnym szczegółem genezy rewindykacji Szczerbca wraz z innymi skarbmami i zabytkami z Sowietów, na mocy traktatu ryskiego z 1921 roku, jest znany dla niewielu fakt: Szczerbiec został n a b y t y na wystawie paryskiej w 1878 roku do Ermitażu Carskiego w Petersburgu przez cara Aleksandra II (1818-1881). Gdzie miecz znajdował się przez 83 lata, od czasu rabunku skarba wawelskiego przez Prusaków, tego dokładnie nikt już prawdopodobnie nie zdoła zbałać. Na wystawie w Paryżu, Szczerbiec ukazał się ze zbiorów Bazylewskiego, po „przeróbkach” antykwariuszów paryskich.

W Polsce były dwie kopie Szczerbca. Jedną, sporządzoną została na koronację Augusta II Sasa wraz ze srebrną koroną i znajdowała się w Częstochowie. Inna kopia przechowywana była w skarbcu katedry w Krakowie. Nie ma wiadomości o zamachach na kopie Szczerbca, czego nie można niestety stwierdzić o klejnotach i skarbach królewskich. Kolejne inwentarze przedrozbiorowe notują smutny ubytek, powodowany systematycznym rozkradaniem skarbow przez polskich możnowładców, którzy bądź spieniężali bezcenne często zabytki sztuki, lub w lepszym wypadku, umieszczali je we własnych zbiorach i prywatnych muzeach...

Pomstować by trzeba nie tylko na zaborców. Przytoczone szczegóły o Szczerbcu stanowią część tylko smutnej historii skarba królewskiego w Polsce. Szereg uczonych, wśród nich prof. Józef Łepkowski, Jan Sadowski, Seweryn Smolikowski, Adam Pług i inni zajmowali się w przeszłości badaniem losów insygniów i klejnotów królów polskich. Ich żmudnym iściekaniem zawdzięczamy poznanie faktów, może niepopularnych, lecz dokumentujących karty historii symbolu naszej państwowości.

Tadeusz Ziarski

TENDENCYJNOŚĆ

(Dokończenie ze str. 8)

moralnego wpływu w celu zaoszczędzenia Polsce nowego rozlewu krwi. Nie żądano niczego, co byłoby przeciwne posłannictwu Kościoła, a z drugiej strony zaistniały warunki nieodzowne, ażeby takie posłannictwo mogło być w czyn wprowadzone.

„A więc nie ma żadnego układu tego rodzaju, o jakim się pisze. Sytuacja tłumaczy się warunkami faktycznymi sytuacji polskiej, jakie nie istnieją w innych krajach.

„Nie ma miejsca na odławianie się opty-mizmowi jakiegokolwiek rodzaju — pisał niedawno L'Osservatore Romano. — Wypadki polskie winny być śledzone uważnie, w tej pewności, że w każdej sytuacji politycy pozostaną wierni sobie, swej przeszłości, Kościołowi i Namiestnikowi Chrystusowemu. Będą w dalszym ciągu bronić sprawy Bożej ze spokojem pełnym nieugiętej siły, który został umocniony przez prześladowanie i pogłębiony w ich świadomości.

„Usiłowanie więc stawiania w tym wypadku Polski jako przykładu katolikom jest naciągane i tendencyjne. Jedyną nauką, jaką można wyciągnąć z wydarzeń w Polsce, jest taka: przeszkadzać, tam gdzie jeszcze jest to po ludzku możliwe, by wolności religijne i obywatelskie miały zależeć od taktycznych posunięć reżymów, narzuconych przez obcą przemoc.”

LOTNICTWO

Z OSTATNICH OSIĄGNIĘĆ

Nowoczesne samoloty bardziej przypominają swym kształtem raczej owady niż ptaki. Podobnie i zdjęcie powyżej, przedstawiające najnowocześniejszy samolot amerykański zwany „Starfighter” uderza swymi „nie z tego świata” kształtami.

Trzeba jednak dodać, że zdjęcie to zostało dokonane z bliska i w skutkach pespektywicznych zniekształceń nie daje dokładnego pojęcia o prawdziwych wymiarach tego samolotu. Skrzydła, o bardzo cienkim i ostrym profilu, są ułożone w strzałę o kącie 60 stopni w kierunku lotu. Ostra krawędź natarcia skrzydła i jego zarys przy nadzwyczajnej cienkości profilu wynikają z wymagań superpersonicznej aerodynamiki.

Stąd też, jak widać na zdjęciu, powstała konieczność takiej konstrukcji podwozia, która pozwala na chowanie go po starcie wewnątrz kadłuba, a nie do skrzydeł, jak to czynią inne samoloty. Zbiorniki paliwa umieszczono na końcach skrzydeł dla wielu powodów, tak aerodynamicznych, jak i konstrukcyjnych, oszczędzając tym obciążenia okuciom, łączącym cienkie skrzydło z kadłubem, ale właściwie dlatego, że nie było na nie gdzie indziej miejsca. Kadłub o smukłym kształcie zaznacza się swym zaostrozonym przodem, w którym umieszczono odbiorcze przyrządy mierzące szybkość samolotu względem powietrza. Poza tym większość kadłuba wypełnia silnik a tylko niewielką część jego ob-tęłości — kabina pilota.

W rzeczywistości samolot nowoczesny staje się coraz bardziej czymś w rodzaju osłony silnika, a części silnika stają się jednocześnie częściami płatowca i na odwrót. Samolot i silnik zespala się coraz bardziej w jedną konstrukcyjną całość, zbliżając się coraz bardziej do rakiety. Mówi się coraz częściej wśród fachowców o locie balistycznym, w o-



różnieniu od tak zwanego lotu aerodynamicznego. Pod pojęciem lotu balistycznego rozumie się lot, w którym samolot porusza się podobnie jak pocisk pod wpływem siły bezwładności. Lotem balistycznym porusza się na przykład rakietą po wypaleniu swego paliwa. Leci ona dalej jedynie dzięki wielkiej ilości ruchu nabytego w tym stosunkowo krótkim okresie czasu, w którym działały jej silniki.

„Starfighter” choć oficjalnie jego wyceny są jeszcze tajemnicą, osiąga prawdopodobnie w locie poziomym szybkość większą od dźwięku i może wlecieć na wielkie wysokości. Stąd widzimy na zdjęciu jak pilot fabryczny Lockheed'a p. Tony Levier, ma na sobie nowoczesny ekwipunek lotniczy używany do lotów wysokościowych. Jakkolwiek powietrze w kabine pilota jest utrzymane w czasie lotu automatycznie pod ciśnieniem zbliżonym do tego przy powierzchni ziemi, jednak jakiegokolwiek uszkodzenie kabiny ciśnieniowej na wielkich, dziś osiągniętych wy-

sokościach, gdzie ciśnienie zewnętrzne powietrza jest około dziesięciokrotnie mniejsze od ciśnienia na powierzchni ziemi, mogłoby spowodować gwałtowny spadek ciśnienia w kabine i niebezpieczne dla życia ludzkiego zaburzenia biologiczne.

Dlatego pilot, jak widzimy, posiada hełm ciśnieniowy a całe ubranie wywiera na poszczególne członki ciała doświadczalnie obliczone i odpowiednio rozłożone ciśnienie. Ubranie to ma, w wypadku takich ewolucji samolotu, które wywołują przyspieszenia, przeciwdziałać nagłemu przelaniu się krwi w organizmie ludzkim pod wpływem tych przyspieszeń i chronić przed związanym z tym niebezpieczeństwem utraty przytomności. W języku dzisiejszych lotników zwykle się nazywa je „ubranie przeciwprzyspieszeniowym”.

Konstruktorzy nowoczesnych samolotów mają obecnie do dyspozycji coraz więcej urządzeń automatyzujących różne czynności mechanizmów wewnętrznych samolotu. Pozwala to na uproszczenie czynności, jakich musi dokonywać pilot, by kontrolować sprawne funkcjonowanie samolotu. Ta częściowa automatyzacja urządzeń wewnętrznych pociąga za sobą całkowite przekonstruowanie i uproszczenie dotychczasowych wnętrzy kabin samolotowych pilota, którym daje się dziś całkiem inny wygląd. Znikają stopniowo różne zegary a rozplanowanie pozostałych polega gruntownie i nieraz żmudnym naukowym badaniom.

Zdjęcie obok przedstawia makietę projektowanego wnętrza kabiny nowoczesnego samolotu, którą wystawiono na wystawie lotniczej we Frankfurcie.

Pomimo tendencji zmniejszania ilości przyrządów i uproszczenia całego systemu, zagadnienia lotu samolotu nowoczesnego przynoszą z sobą konieczność wbudowania w samolot nowych urządzeń, których przedtem nie było. Kształty zewnętrzne dzisiejszych samolotów, dyktowane względami ultrasonicznej aerodynamiki, powodują, że trudno jest tak zbudować cabinę pilota, aby zapewnić mu dobrą widoczność do przodu. Z tego też powodu, zachodzi coraz większa potrzeba stosowania przyrządów, które by pozwalały pilotowi widzieć w przód. Osiągnięto to przez stosowanie różnych przyrządów

(Dokończenie na str. 22)

HISTORICY EMIGRACYJNI O KOMUNISTYCZNEJ „HISTORII POLSKI”

W Instytucie im. Generała Sikorskiego odbyła się, przy licznych udziałach osób o zamiłowaniach historycznych, ożywiona dyskusja na temat niedawno wydanej makietki „Historii Polski” w ujęciu marksistowskim. Rzecz ta wyszła w dwu tomach, jako wydawnictwo Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, pod redakcją zbiorową profesorów Tadeusza Manteuffla, Leona Grossfelda, Bogusława Lesnodorskiego i Stefana Kieniewicza. Tom I ukazał się w roku 1955, tom II (część pierwsza, obejmująca lata 1764-1864) w roku 1956.

Prezes Instytutu im. Generała Sikorskiego, prof. gen. Marian Kukiel, powoławszy na przewodniczącego zebrania prof. Sulimirskiego, wygłosił referat zasadniczy, w pięknej i porywającej formie. „Przed niedawnym czasem — zaczął swoje przemówienie gen. Kukiel — rozpuszczono pogłoskę, że historycy polscy przebywający na obczyźnie mają być zaproszeni na dyskusję w Sulejówku o makietkę dwutomowej marksistowskiej „Historii Polski”, opracowanej przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk.” W rzeczywistości nikt z historyków emigracyjnych zaproszenia takiego nie otrzymał. Prof. Manteuffel wyjaśnił przez radio, że tylko istniał taki zamiar. Prawdopodobnie inicjatorom pomysłu rozperszowano jego niepożyteczność dla organizatorów dyskusji.

Głosu historyków emigracyjnych nie powinno wszakże braknąć w dyskusji. O komunistycznej „Historii Polski” mówili już przez radio i pisali o niej profesorowie Paszkiewicz, Hałacki i Kukiel. Ponieważ prof. Manteuffel uznał, że zabieranie głosu przez historyków na obczyźnie na falach radia Wolnej Europy jest „niewłaściwe”, więc dyskusja odbywa się w Instytucie Historycznym im. Gen. Sikorskiego.

Prof. Witold Kula podzielił niedawno w „Kwartalniku Historycznym” polską historiografię powojenną na następujące okresy:

Okres I: lata 1945-1948; w tym czasie odbywały przedwojenne nauki historyczne, w ich postaci tradycyjnej, z szerszym uwzględnieniem zjawisk gospodarczych i społecznych, spraw Ziem Zachodnich i z przytłumieniem badań nad dziejami Ziem Wschodnich R. P. We wrześniu 1948 odbył się we Wrocławiu kongres historyczny, w czasie którego ówczesny minister oświaty p. Skrzeszewski oświadczył, że na pomoc państwa będą mogli od tej pory liczyć tylko historycy marksiści, co oznaczało, że inni zostaną pozbawieni głosu, co też istotnie nastąpiło.

Okres II, „likwidatorski”: od roku 1949 do 1951. Prace historyczne zanikały w tym czasie. W roku 1951 odbył się Kongres Nauki Polskiej, na którym historia reprezentowana była jedynym referatem, w którym stwierdzono, że „dotąd polska nauka historii nie istniała”.

Na przełomie lat 1951/52 odbyła się konferencja otwoka historyków, po której pozostały dwa tomy protokółów. W czasie tej konferencji polskie nauki historyczne poddały się dyktatowi partii komunistycznej i doradców sowieckich. Historia stała się oficjalnie „narzędziem likwidacji powalonych klas społecznych” i „narodu burżuazyjnego” oraz przygotowaniem drogi dla rodzącego się „narodu socjalistycznego”. Obrady cechowała profuzja cytatów z „klasyków” marksizmu: Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Prof. Adam Schaff, główny ideolog marksizmu w nauce, stwierdził, że naukowość i obiektywizm to właśnie marksizm i upartyjnienie nauki.

Powołany do życia 100-osobowy Instytut Historii zapowiedział opracowania „syntezy” historii Polski, ujętej w duchu marksizmu. Rezultatem prac jest właśnie 2-tomowa „makietka” (czyli drukowany projekt) „Historii Polski”. Dokonano w niej przede wszystkim niezwykłego podziału dziejów narodu na okres „mroków”, feudalizmu (który miał trwać od okresu przedhistorycznego aż po rok 1860, a więc co najmniej 1000 lat), kapitalizmu i republiki ludowej. Jest to, oczywiście, całkowicie monistyczna periodyzacja historii, nieludzkiej i odczłowieczonej, w której nie ma miejsca na żadne inne pobuły ludzkiej działalności, jak tylko ucisk feudalny. Nie ma w takim ujęciu miejsca ani dla rozsądku, ani dla rozumu, ani dla miłości ojczyzny, religii itd. Historię robili przez lat tysiąc wyłącznie „feudalowie”, pochłonięci wyłącznie i całkowicie myślą o ucisku klas pracujących. Zagadnienia bardziej skomplikowane ułatwiają polscy historycy marksistowskie cytaty z „klasyków”. Ci klasycy to Marks, Lenin, Stalin itd., a wśród nich jeden również rodzimy: Bierut. Dyskusja nad temem I odbyła się w Kraju już po październiku, nic więc dziwnego, że oczekiwała się ona niemal jednoznacznego potępienia, mimo to jednak niewiadomo, jakie będą dalsze losy „Historii”. Nawet historycy świeccy upomnieli się o inne również kryteria podziału dziejów niż wyłącznie walka klas, przy czym, jak podkreślili, historia Polski jest szczególnie przykłądem na istnienie czynników historyotwórczych, istniejących w nadbudowie.

Prof. Kukiel przeszedł następnie do szczegółowej analizy tomu II, wykazując z wielkim znanstwem i ostrą ironią tendencyjność i nienaukowość ujęcia poszczególnych rozdziałów tomu. Wszystkie wypowiedzi historyków marksistowskich stoją apriorycznie po stronie Rosji i każdy fakt dziejowy tłumaczy jej interesami i na jej korzyść. Wyklucza to, rzecz jasna, bezstronność naukową. Fakty niewygodne po prostu się przemiłcza lub wprost fałszuje. Dla przykładu, jaki charakter posiada makietka „Historii Polski”, przytaczamy z obszernego przemówienia gen. Kukieła kilka następujących szczegółów: rozbiory Polski są sprawą zupełnie drugorzędną wobec „periodyzacji” klasowej historii. Walki Kościuski z Rosją i Prusami są niemal pominięte, a nacisk położony na spory klasowe owego czasu, narcy białoruski, ukraiński i litewski w wyniku rozbiorów odnajdują prostą drogę do wyzwolenia i scalenia, ani słowem nie wspomina makietka o rzezi Pragi, za Napoleona żołnierz polski znalazł się w „służbie zaborczości francuskiej”, a o tym, że była to „wojna polska” i że Napoleon ogłosił odbudowę i zjednoczenie państwa polskiego nie wspomina się wcale, system paszkiewiczowski potraktowany jest po łepkach, a Ruś i Litwa w tym czasie w ogóle dla autorów „Historii Polski” nie istnieją. Itd. Itd. Prof. Stefan Kieniewicz, najpoważniejszy z autorów makietki, niedawno wyznał, że „naginano w niej fakty do też uznanych za prawidłowe”.

W dyskusji zabierali głos: prof. H. Paszkiewicz, W. Wiłhorski, S. Mękarski i S. Biegański. Prof. Paszkiewicz stwierdził, że komunistyczna „Historia Polski” jest zbiorem fałszerstw i zupełnie nienaukowych ujęć. Nie zasługuje zatem na poważne traktowanie naukowe. Jako przykład podał szereg sfałszowanych cytatów, m. in. z jego książki Makietka „Historii Polski” może posiadać wartość tylko jako dokument zależności i upodlenia narodu od obcej władzy i doktryny. A. S.

FESTIWAL SZEKSPIROWSKI NA SOUTHWARK

Po prawym brzegu Tamizy, naprzeciw londyńskiego Strandu, leży stara i zasłużona dla kultury Anglii dzielnica Londynu, zwana Southwark. Tutaj to, w teatrze „Globe”, grał przez wiele lat swe sztuki William Szekspir. Niedaleko miejsca, gdzie ten sławny teatr się znajdował, jest obecnie teatr „Old Vic”, w którym grają wyłącznie sztuki Szekspirowskie.

Southwark w swoich dowodach miłości dla Szekspira jest niestrudzony. Między innymi urządza corocznie festiwal jego sztuk. W roku bieżącym od 30 kwietnia do 11 maja, w ciągu dwu tygodni wystawiono w Duthy Hall, przy Great Guildford Street, następujące sztuki Szekspira: „Much ado about nothing” w wykonaniu studentów Royal Academy of Dramatic Art; „Midsummer night's dream” odtwarzali studenci Bor. Polytechnic; „Hamleta” grali aktorzy towarzysztwa „Argosy”; „Macbeth” — grany był przez członków Croydon Histrionic Society, „Romeo and Juliet” przez Stewart Headlam Shakespeare Assoc., „Twelfth night” przez Festival Players i „Othella” Islington Players i Query Players.

Na festiwal Szekspirowski w Southwark zjechało wielu miłośników Szekspira z całej Anglii.

BRAZYLIA

(Dokończenie ze str. 17)

Polski język usłyszy się dopiero przy kościele św. Wincentego i św. Stanisława. Niezbyt wyraźna linia podziału jest taka, że do św. Stanisława chodzą starsi emigranci, a do św. Wincentego nowsi, powojenni. Na koloniach słyszy się polskiej mowy więcej, ale i tam młodzież woli już mówić po brazylijsku, a sporo jest ludzi znających polski język w mowie, ale już z czytaniem jest gorzej.

Księża po parafiach są tu zwykle poliglotami. Jeden z kanoników kurytybskich opowiada, jak to jakaś kolonistka narzekała na pewnego księdza: „ani po polsku, ani po niemiecku nie umie, a proboszczem by chciał być!” Bez znajomości portugalskiego już się dzisiaj załen proboszcz nie obejdzie, nawet na tak zwanych polskich koloniach. Miejszane małżeństwa polsko-brazylijsko-włosko-niemieckie i szkolnictwo, które na zasadzie konstytucji tak federalnej jak i stanowej nie zezwala na uczenie języków obcych w szkole wstępnej, prowadzą do rozpowszechnienia mowy brazylijskiej i do wyparcia języków, jakimi się posługiwali osadnicy.

Czytelnictwo i organizacje — to już sprawa wymagająca osobnego omówienia, nie dlatego, że by było zbyt bogate, tylko właśnie dlatego, że jest w sam raz przeciwnie. Dlaczego tak jest? Przemysławszy powyższe uwagi dziwilibyśmy się raczej, gdyby było inaczej.

Nurt asymilacyjny, integracyjny czy — mówiąc z naszego punktu widzenia — wynarodowienie — jest tu zaawansowany daleko. Rzecz jasna, że wieli jednostek i mniejszych ugrupowań nadrabia jakością to, czego brak ilościowo. Do tych nielicznych jednostek i ugrupowań trzeba zaliczyć przede wszystkim wszystkich ludzi rozumiejących jeszcze znaczenie prasy i książki w języku ojczystym oraz ludzi ofiarnych na cele pomocy dla Polaków. Jest ich zbyt wielu, ale procentowo na pewno więcej niż „sprawiedliwych” w miastach nad Morzem Martwym, czyli że „jeszcze tak źle nie jest”.

W każdym razie prof. Temistocles Linhares powinien by dziś zupełnie inaczej przepisać te kilka stroniczek skąpo poświęconych Paraficzkom polskiego pochodzenia. A. S.

PRZYJACIEL Z INNEGO WYMIARU

Napisała HERMINIA NAGLEROWA

Istnieją nieuchwytnie związki między odczuwaniem a przeżywaniem, między wzruszeniami a wydarzeniami. Nie zawsze bowiem są to tylko związki przyczynowe. Bywa nawet tak, że to wiązanie się rozmaitych kategorii odbioru psychicznego następuje w momencie w jakiś sposób oznaczonym lub nazwanym. Dla mnie zakończenie pierwszej wojny światowej i odzyskanie politycznej wolności łączy się właśnie — z „Łąką” Lesmiana. Na pewno jest tu pomyłka w chronologii i na pewno oba te zjawiska są niewspółmierne, ale tak mi się dziś wydaje, że „Łąka” otworzyła mi wtedy serce dla szczęścia. Ze przez „Łąkę” powszechne szczęście tamtych lat stało się osobiste.

Dobrze pamiętam, że książka miała jasnobrązową, marszczoną, czy też „krepowaną” okładkę, przypominającą kolorem zwyczajny papier pakunkowy. Faksymile podpisu Lesmiana czyniło ją przyjemnie podobną do zeszytu szkolnego. Zaś wiersze, które zawierała, były oślnieniem, czarem. Nie spełniając ani przeczyć, ani urojen, wiersze te zagarnęły przeczyć i urojone nieprawdopodobieństwo poezji.

Nie wiedziałam wtedy jeszcze nic o Lesmianie. Jego tomu sprzed wojny: „Sad rozstajny” — nie czytałam. Nie dotarł do nas, do Galicji, bogatej w owe czasy w poetów takich jak Staff i Kasprzowicz oraz innych znanych i lubianych, chociaż mniejszego kalibru. W latach wojny w tornistrach legionistów był tomik Słońskiego „Jeszcze nie zginęła” i być może, te miłe, śpiewne strofki wystarały wszystkim, nawet tym, którzy mieszkali w domach a nie w rowach strzeleckich. Nawet — na czas wojny — znawcom i wybredniom.

Po wojnie, po lwowskich listopadzie, odmiennie się wiele i w dziedzinie poezji. Był to młody czas, kiedy po wszystkich, bo i po Stafie przegalopował „Picador”, aby wkrótce popłynął na pozór tylko spokojnym nurtem „Skamandra”. Poezja „wybuchła” wtedy niemal tak jak Polska i tak samo dzieliła się na grupy, na partie. Była zatem grupa poznańska „Zdroju” Hulewiczów, a chyba tuż za „Skamandrem” i „Zdrojem” poszła krótkotrwała „Ponowa” J. N. Millera i Róży Czekańskiej-Heymanowej. Była ponadto również efemeryczna „Gospoda Poetów” Radosława Krajewskiego i Xawerego Glinki. Był wreszcie „Czartak” Zegadłowicza i Kozłowskiego. Tomiki poezji kielkowały wiosennie w wydawnictwie „Ignis”, u Mortkowicza, u Hojsicka. „Plony” poetyckie przesiał potem czas. Poetom ówczesnym nie stało jednak nic na zawadzie, chyba oni sami sobie — nawzajem

Toteż, kiedy się ukazała „Łąka”, jeden z poetów — mniejsza o to z której grupy — przybiegł do wydawcy Mortkowicza i parząc sobie ręce gorącym jeszcze tomikiem porwał go, żeby przeczytać z kolegami poetyckiego zespołu. Po kilku godzinach wrócił do księgarni, oświadczyć triumfalnie: „Nie mamy powodu bać się...”

Ta młodzieńcza pewność siebie była jednak przyznaniem się do obaw. Jeżeli nawet „nie bali się”, jeżeli szli grupą przeciw Lesmianowi, który był sam, do nikogo nie przynależny — rozumieeli przecież dobrze że nic tu natychmiast nie rozstrzygnie się w tym szlachetnym czy nieszlachetnym współwzrostnictwie. Może nawet i to rozumieli, że nigdy nie dojdzie do starcia wręcz, bo Lesmian zawsze będzie osobny i jedyny. Choćby go więc

zalewały fale „Skamandra”, wynurzy się człowiekiem, aby zasławić o niepokonanym trwaniu swojej poezji i music do nasiedowania jej niecnym samego Tuwima.

Rozmawiałam kiedyś — było to w styczniu 1946 — z Bronisławem Przyłuskim o Lesmianie. O jego wierszach, o nim samym. Zabrakło nam określeń i słowa obiegały dookoła, nie docierając do istoty czarodziejstwa, któremu ulegało się przed wielu latami, w młodej epoce — przed wojną, nawet dwa dalsze tomy Lesmiana: „Gędzba lesna” i „Napój cienisty”, które ukazały się w okresie nasycenia, albo i przesycenia się poezją, a tym samym chłodniejszego reagowania na nią — nie potrafiły nas wyrwać z zaczarowanego kręgu „Łąki”. Dostrzegaliśmy też oboje — ja i Przyłuski — że żywość naszych wspomnień o Lesmianie wynika z głębokiego sentymentu do tego człowieka, któremu ciągle wymykało się realne życie. Aby to jasniej wyrazić: elementy realne życia układały się Lesmianowi w sposób dowolny, czyli tak jak to bywa w balladzie, w basni lub w śnieniu. Mogło też tak być, że drogę do Lesmiana-przyjaciela zmnyliła nam jego poezja. Teraz jednak, wspominając go, szukaliśmy go w wymiarach ziemskiego bytu.

Była wojna z bolszewikami — rok 1920 — i w Klubie Artystycznym, w gmachu hotelu „Polonia”, p.sarze, dziennikarze, artyści zebrali się, żeby omówić z zawodem związaną służbę na rzecz wojska. Lesmian plątał się malutki, w cywilnym palcie, w czapce wojskowej. Jego szczupła, bardzo różowa twarz teraz nieco przyżółkła od ważnych, wojennych trosk, wynurzała się z tłułu przetkanego dymem z papierosów. Widziany z bliska, Lesmian jak gdyby buźił się do uśmiechu. Usiłował być rzeczywisty, poddawał projekty, stawiał wnioski, tak jak inni. Rudawy pigment rysował jego twarz z plam jaśniejszych i ciemniejszych. Na grzbiecie wyrazistego nosa napięta skóra bieląca na kolor kości. Włosy na małej głowie żyły się złotawym pląsam puszkami. Oczy siwo-niebieskie mieszczące się blisko nasady nosa, rozblęskiwaly w oknienkach, a w gniewie i wesołości ciemniały tak samo. Jak gdyby było wszystko jedno, co ponosi, co jest pasją danego momentu. Tylko małe, delikatne ręce wydawały się zawsze bezradne. Trzepotały się w gestach, sprzeciwiając się słowom, które były wymierzone, celowe i wypowiedziane mocnym osobnym gardłowym głosem.

Doznawało się wrażenia, że Lesmian nie mógł przyzwyczać się do siebie samego. Będąc — nie był. Odbiegał od siebie w jakiś świat, który powinien być istnieć, ale się nie dokonał. Owszem, po części dokonywał się w poezji Lesmiana, osiągając tam domyślne we wszechświecie barwy i kształty. Świat stworzony przez Lesmiana był, jak w mitach i baśniach, wyolbrzymiony, przydatny nie ludziom, lecz ich bezdrożnym myślom i ich namiętnościom. Tu, w naszym pospolitym świecie wszystko cleżyło Lesmianowi a wiele go niecierpliwiło. Musiał go więc przeinaczać w wierszach według niespełnionych praw przyrody i odbierać mu granice wyznaczone ziemską możliwością. Nawet słowa Lesmiana przekraczały zasoby mowy ludzkiej.

Przymuszając się do spraw zwyczajnych i powszednich, Lesmian stękał jak człowiek w namiernym fizycznym wysiłku. Właściwie nie narzekał. Raczej oszczędnie, niemal bezwładnie ujawniał swoją najgłębszą niechęć do trybu życia, który mu przypadł w udziale.

Nie pojmował siebie w roli reagenta w Zamościu. To nienajgorsze zajęcie odciągało Lesmiana od jego odległych spraw i powodowało konflikty, które mogłyby być zabawne, gdyby chciał odnosić się do nich z wyrozumiałością. Humor Lesmiana bywał raczej gorzki. Toteż niepowodzenia urastały do miary nie-szczęść, a te, uparcie gromadzone, brały pęd w kierunku katastrof. Czas nie potrafił niczego załagodzić, bo Lesmian w każdym niepowodzeniu doszukiwał się jakichś przyczyn, jakichś zatajonych związków.

Mówiąc o tych swoich strapieniach, nieraz cierpko i zgrzyliwie, nie robił jednak wrażenia malkontenta pełnego pretensji do ludzi, warunków, losu. Było to po prostu głuche pragnienie, aby być kimś innym i żyć kiedy indziej. Na pewno nie dotarłby tu zażen psychanalitk do właściwych wniosków. Lesmian wymknąłby się wszelakim urazom chociaż na pozór tkwił w poczuciu mniejszej wartości. (Przypomnę tu żartobliwą anegdotkę, którą Lesmian sam na siebie ułożył: — Jedzie dorożka, w której nie ma pasażera. Dorożka staje przed bramą domu i — wysiada z niej Lesmian.) Niepokażność postaci rekompensowała się w najobszerniejszej tęsknocie ognarniającej bezczasy i bezkres, pragnącej uduchowić sobą wszystko, co zagarną zmysły, a natomiast Boga przybliżyć do kształtów znajomych, nieznaczących, ubogich i upośledzonych. W takim przemieszaniu wizji znajdując zadośćuczynienie, Lesmian poprzez poezję docierał do sprawiedliwego zespolenia ziemi i nieba.

Gdy mówił o swoich nieosiągnięciach i rozpaczach, nie budował zdań. Były to strzępy wizji jeszcze niedojrzałych na tyle, żeby stać się wierszami. Inaczej, kiedy mówił o sztuce pisarskiej. Stawał się wtedy profesorski, świadowi swojego rzemiosła, chętnie udzielający swojej wiedzy, ale i bardzo wymagający. Okazywało się wtedy, że jego dziwo-poezja była architekturą, matematyką poetyki i że wszystko co pisał było świadomym, uzasadnionym kunstem. Jedynie magia, czarowność jego wierszy wymykały się wiedzy mistrza o sobie. Niepokoił się, gdy ktoś chciał to „pojąć”, gdy krytycy to „określali” albo „klasyfikowali”. Jego bezradne ręce miały wtedy gest całkowitej beznisly. Długo też trwał zanim dźwigał się z poczucia klęski, zanim opanowywał się na tyle, żeby dalej istnieć. Unikał wtedy ludzi, przebiegał chyłkiem ulice, jeszcze drobniejszy, jeszcze bardziej spłoszony.

W kawiarni „Ziemianskiej” przy ul. Mazowieckiej, w porach kiedy nie było tłoku, kiedy więc nie było już także poetów rezydujących na półpięterku — tych właśnie, którzy „nie bali się” — wtedy przy jakimkolwiek stoliku siadywali obaj: Lesmian i Fiszera. Malutki Lesmian przy wielkim i grubym Fiszere. Lesmian podobny do przejrzystej jętki, prześwietlony wesołością, cieszył się przyjaciele. Ten zaś — koneser wszystkiego co daje życie, wszystkim jakby napełniony po brzegi, a teraz zżyjący z takim samym smakiem biedy i bezdomności, jak ongiś za-możności — pysznił się sobą trochę na pokaz, trochę na przekór całemu światu. Huczał basem w pustej kawiarni, od czasu do czasu uczącąc siebie bezinteresownie przyjacielowi.

Nie trudno było dostrzec, gdy ich tak zastawałam o wczesnej popołudniowej godzinie w kawiarni, że Lesmian przy Fiszere był pewniejszy siebie, że jakby odzyskiwał statykę. Interesowały go wtedy rzeczy zwyczajne, nawet plotki nieraz zmyślone przez facecjonistę Fiszera. Anegdoty i zabawne „kawały” odwozili od trosk, kłopotów, rozgoryczeń. Nie-wątpliwie dawał Lesmianowi nieco satysfak-

cji sarkazm Fiszera, nie oszczędzającego nikogo, a zwłaszcza sławnych i oficjalnie uznanych. Współczesne piarstwo polskie Fiszera po prostu odmiatał i niweczył. Walił w nie krótkimi dosadnymi słowami, po czym cofał się wstecz, aby potępić to, co było i wybiegał naprzód, żeby zbagatelizować to, co będzie.

Ferwor Fiszera był zabawny, ale Leśmian nie zawsze aprobował wyroki przyjaciela. I któżby pomyślał! — stawał twardo przy Sienkiewiczzu. — Talent — spierał się wielki talent! — Fiszera nie szczędząc śliny, przedrzeźniał Leśmiana: — Talent, talent, cóż to jest właściwie talent? I wirtuoz ma talent i malarz na porcelanie powinien mieć talent. W piarstwie decyduje „klasa”, nie talent. Przecież wszystkim jednak — wiedza pisarska. No, i mądrość. Nie mieliśmy mądrych pisarzy. Być może Prus ale i on był w gruncie rzeczy sentymentalnym ciemięgą, który bał się, bał Kogo? — pytasz. Kołtuństwą polskiego bał się, opinii się bał. — I nagle z zapewnienia przechodził Fiszera w czułość. — Ty się nie boisz, ty jeden, ale tylko dlatego, że nie zdajesz sobie sprawy z rzeczywistości. Już ci przecież wykopali dołek za życia. Mały dołek, tyle, żebyś się zmieścił.

Leśmian śmiał się, że zmieści się nawet w mysiej dziurze. Kochał Fiszera za dowcip, intelektualizm i ordynarność. Powierzał się jego rozsądkowi i jego lekkomyślności. Przyjaźnił się także z Miriamem jeszcze od czasów „Chimery” ze Staffem z Irzykowskim. Było to antykalenowe stronnictwo w Akademii Literatury, sprzeciwiające się jakiejś tam polityce personalnej czy nawet szerszej, bo moralnej. Leśmian podniecał się, ale i szybko zniechęcał. Kaden urastał bowiem w jego pojęciu na demona, z którym walka jest daremna.

Istniało jednak takie asylym, do którego Leśmian mógł się schronić w najcięższych chwilach. Była to wiecznie nurtująca myśl o teatrze. Stworzyć teatr, pisać dla teatru. Byłaby to scena wyobraźniowa, teatr, który realizowałby nierealność. Nie, wcale nie teatr Witkiewicza, zbyt mózgowy i pozbawiony poezji. Teatr Leśmiana byłby na wskroś poetycki bo w tym tkwi istota teatru, że może umyślnie stworzyć poezję, jej skrót, jej metaforę, jej obrazowość i pointe.

Poniekąd dla tej swojej uprzejmych idei Leśmian porzucił Zamość i rejenturę, aby osiągnąć w Warszawie. Tu miał wpływowych przyjaciół w rządzie, tu był zawsze pod ręką Wieniawa, tu można było deptać po piętach i zjednywać dla teatru, który przeobrazi sztukę, ludzi, świat.

Spotkałam raz Leśmiana w piękny letni dzień na Mazowieckiej. Powietrze było złote, trawnik i kwiaty na skwerku przed Zachęta, pomnik Peowiaka ciągle bardziej pod Michała Anioła niż Wittiga, drzewa puszyste, niewysokie, niebo rysowane nierównym zyganiem dachów. Leśmian dreptał nieskładnie po chodniku, smutniejszy niż kiedykolwiek. Jakże się teraz martwił tym wszystkim, co mąciło życie polskie! Burdy na uniwersytetach, ONR, OZON... Nie rozumiał, nie pojmował, odpychał to od siebie gestem słabych rąk. Nie umiając dać sobie z tym rady, mówił, krzywiąc się jak dziecko, że — coś z sercem nie w porządku, że lekarze... A potem jakby bez związku — o swojej rodzinie, o tym że jest rodem z Ukrainy (nie pamiętam: z Kijowszczyzny, czy Zytomierza?), że był kiedyś doskonałym jeźdźcem, że do tej pory przepada za koniu.

I znowu temat inny: — jaką suknię ma włożyć jego córka na raut? — Wszystko co mówiło mi jakiś jemu wiadomy związek z niepokojącymi go sprawami. Może nawet

także to, że zapowiadał mi nowy tom wierszy, że w tym tomie prawie każdy wiersz ko-muś poświęca, że i mnie również. Wszystkim, których lubi, lub kiedyś lubił. — Nie, nie myśl, że to już pożegnanie. Jeszcze mam coś do zrobienia zanim mnie lekarze, albo nie lekarze, wyślą na tamten świat. I w ogóle „tamten świat” jest tutaj nie tam, więc tak czy inaczej — tutaj trzeba zostać.

Nie zastanawiałam się wtedy jak sobie wyobraża owe „tu” i „tam”. Ale może już teraz wiem, że chciał pozostać w obrazie tamtego dnia. I tak chcę Leśmiana przekazać — w skrawku Warszawy, w słońcu. Tak właśnie strapionego tym, czego nie umiał pojąć i czego skrycie się bał i tak samo skrycie się wstydził. I od czego odszedł w czas, nie prze-rażony już bardziej tym, co nastąpiło w kilka lat po jego śmierci.

Moja przyjaźń z Leśmianem była osobliwa, a mój stosunek do niego jakby nieuchwytny. Myślałam o nim zawsze jako o przyja-cielu z innego wymiaru. Zjawiał się i zniknął, aby w swoich tomach wierszy objawiać się odległą niespodzianką, która przestawiała go już całkowicie, zostawiając tylko jego pozór ludzki.

Często zastawiałam Leśmiana w księgarni Mortkowicza na Mazowieckiej. Wyłaniał się spośród książek i zrazu zasępiony ilością „no-wości”, ważył je w ręce, przerzucał kartki, oceniając wartość utworu dotykiem palców, jak towar w sklepie tekstylnym. Ale niekiedy coś go tknęło: słowo, zwrot. Wtedy jeszcze mocniej różował albo dostawał ceglanych rumieńców. Odczuwał piękno warem krwi. Jeżeli czegoś nie aprobował, bywał chłodny i złośliwy. Właściwie lubił wiersze podobne do jego własnych. Można by powiedzieć, że lu-bił swoich naśladowców. Mówił wtedy pra-wie ze wzruszeniem: — To moja szkoła. To wziął ode mnie. — Czasem z satysfakcją: — Nie napisaliby tego lepiej.

To, że miał przeciwników, nie gnębiło go zbyt. Ale głęboko cierpiał z powodu przemilczania go. Gdy mówił: — Przecież mnie nie ma — jego ironia brzmiała rozżaleniem. Kiedy został członkiem Akademii, zrozumiał, że jednak — jest, że miejsce jego jest wśród najlepszych. Przez jakiś czas twarz jego wy-rażała wewnętrzne skupienie, wszedł w siebie, zważył siebie. Głos mu się ściszył, aby zataić brzmienie radości. Był w tym podobny do Irzykowskiego. Obaj tak samo widzie-li w swoim wejściu do Akademii sprawdzian swoich pisarskich osiągnięć. Widzieli swoją pozycję literacką już utrwaloną za życia. Miało to, mimo wszystko, swoje znaczenie. Równoważyło klęski i upokorzenia, było mo-

że nawet nadpłata, triumfem. Obaj — Irzyk-owski i Leśmian — odczuwali z tego po-wodu jakby wyrzut sumienia, bo czyż nie zawiniли dotychczasowym poczuciem krzywydy? Leśmian okazywał jednak to pomieszane odczuwanie inaczej niż Irzykowski — był dyskretniejszy, był niemal zażenowany.

Wkrótce wróciły niewygody, które popsęły Leśmianowi każdą radość.

Tym razem nie były to urojenia i umyślnie ucieczki w nieznanne. Tamten piękny dzień letni, który otoczył Leśmiana powietrzem i zielenią Warszawy, nie był już bowiem szcze-śliwym i triumfalnym dniem poety. Leśmian nie szedł, tylko pomykał ulicami, aby ująć przed czymś, co biegło za nim w tropy. Otrząsał się przed rzeczywistością, nie chcąc przy-znać się, że naprawdę zabił się w niej jak w nieznanym lesie. I że w tym lesie czyhano na niego, żeby go ograbić z wszystkiego — z głosu poety, ze słów, które tworzył dla mowy, nie innej dla niego tylko — ojczyste.

Opowiadano mi potem, że ktoś kim pogar-dzał, ktoś, kto był wrogiem, wszedł zuchwale do jego domu. Leśmian uniósł się. W gniewie rósł, a wyrósłszy ponad swoją miarę, wy-pe-dził intruza. Nie wiem, czy tak było w isto-cie, ale z tą sceną łączono jego atak serca i śmierć. Dane było Bolesławowi Leśmianowi umrzeć z gniewu, nie z lęku.

Herminia Naglerowa

TECHNIKA

(Dokończenie ze str. 19)

optycznych, które przekazują obraz przestrze-ni przed samolotem na ekran znajdujący się przed pilotem w kabine. Przyrząd ten moż-na porównać z czymś podobnym do perysko-pu łodzi podwodnej, w którym obraz z po-wierzchni morza zostaje przeniesiony na e-kran w łodzi przy pomocy odpowiednio uło-żonych pryzmatów i szkieł optycznych.

W wypadku braku widoczności, czy to w nocy, czy przy złej pogodzie, pilot musi pole-gać na urządzeniach radarowych, czyli na wysyłaniu fal elektromagnetycznych w kie-runku lotu, i odbieraniu ewentualnych odbić tych fal od przedmiotów, jakie na przestrze-ni lotu mogą się znaleźć. Odbicie fal rada-rowych daje na specjalnym ekranie w kabi-nie pilota odpowiednie obrazy pozwalające pilotowi ocenić rodzaj ewentualnej przeszkody.

„OGNISKO POLSKIE”

ŚRODA, 5 CZERWA, GODZ. 7.30

ZAGADKI MUZYCZNE

AUDYCJA ROZRYWKOWA

RADIA WOLNEJ EUROPY

z udziałem młodzieży

Gościnnie wystąpi Renata Bogdańska oraz „Dialogi Emigrantek” pióra Ref-Rena

Wstęp wolny

T E A T R

„TRAFIKA PANI GENERAŁOWEJ”

„Trafika pani generałowej” to chyba naj-popularniejszy Bus Fekete, nie tracący wdzięku po blisko półwiekowej karierze na scenach świata. Jak każdy Bus Fekete, kome-dia to w miarę dowcipna, w miarę senty-mentalna, miejscami wzruszająca w spoj-rzeniu na życie, partiami taniutką groteska, w całości sztuczka bezpretensjonalna, ale i kulturalna.

Wiek „Trafiki” zdradzają niesamowite du-żyzny i sentymentalne ceregiele obyczajowe. „Teatr Aktora”, który wystawił komedię w „Ognisku Polskim” w Londynie, potraktował „Trafikę pani generałowej” prawie z na-bożeństwem, nie tylko nie skracając tekstu, ale aż do znudzenia rozmazując senty-mentalne scenki i gierki. Dziwna rzecz: teatry emigracyjne bezceremonialnie postępują so-bie z klasykami, niemilosierdzie obcinając i cenzurując Wyspiańskiego, „przerabiając”, a właściwie nieciągą Krumłowskiego i innych starych autorów, ale Bus Fekete jest dla nich nietykalny. Tymczasem z wielką ko-rzyścią dla przedstawienia można było „Tra-fikę” skrócić o pół godziny.

Aktorsko był to wielki popis zespołu. Rów-nież inscenizacja i bodaj bezbłędna reżyse-ria dowiodły, że mały i w pełni zrozumiały repertuar odpowiada bardziej aktorom emi-gracyjnym niż klasycy i współczesne sztuki od wielkiego dzwonu. Dość trzeba, że ni-ktorzy z aktorów włożyli w „Trafikę” o wiele więcej talentu i wysiłku ponad to, na co ta komedycja zasługuje. Dzięki temu też Bus Fekete został jakby nobilitowany, uszlache-niony i pogłębiony.

Zwłaszcza Romana Pawłowska, wielka w każdym calu, ruchu, gaście, słowie i tonie aktorka, rzuciła pełnymi garściami brylan-ty swego talentu. Któryś z teatrów londyn-skich powinien koniecznie się postarać o wielką rolę dla Pawłowskiej. To skarb na europejską miarę! A może by tak na na-stępny „Dzień Aktora” pokusił się o Szekspi-ara? Ileż ról dla Romany Pawłowskiej! Oto i skutki obejrzenia Bus Feketego w „Ognis-ku”. Sztuka Pawłowskiej kieruje myśl z „Trafiki pani generałowej” ku Szekspirowi.

Młoda aktorka z Polski, Barbara Galicówna, mimo młodego wieku, wie dobrze, co

to jest teatr. Jej gra, a więc gest, plastyka ruchu, mimika, nie zastygały ani na chwilę, ulegały ustawicznej zmianie, rozwojowi. Galicówna dała pokaz przeżywania sztuki. Oczy-wiście, daleko jej do sztuki Romany Pa-włowskiej, ale młodość i wdzięk przystaniają takie braki, jak monotonia skali głosowej czy przesłodzona ekspresja uśmiechu.

Leonia nie udała się Bus Feketemu, za-wieszona między tragizmem pożycia małżeń-skiego a groteskową lekkomyślnością obyczajów, ale udała się w pełni Danucie Karell, tragicznej zarazem i kusząco lekkiej. Jadwiga Starnawska umiała się zrobić idealną pa-nienką sklepową.

Wojciech Wojtecki dał sobie lekko radę z szablonową w zasadzie rolę zblazanego lo-welasa, zmieniającego się w zakochanego na-rzeczonego. Jedyny amant na scenie emi-gracyjnej, posiada Wojtecki poza tym wyso-ką inteligencję aktorską, czego dowiodła wzorowa reżyseria komedii. Roman Ratschke i Stanisław Kostrzewski, każdy po swojemu, narysowali idealnie powierzzone im role. Aby nie popsuc ciągłymi pochwałami Michała Kiernowskiego, wystarczy napisać, że nie grał gorzej niż w swoich dotychczasowych ro-lach. Wreszcie w rolach incydentalnych wy-stąpili: Zygmunt Zimand, mały Robert Si-korski i Feliks Stawiński.

Bardzo pomysłowa w dekoracji trafika Ja-na Smosarskiego, wypadła odrobinę za brud-no.

Komedia, na szczęście, odbyła się bez efek-tów muzycznych.

J. B.

K S I A Ź K I

„CZY ZADANIA EMIGRACJI ULEGŁY ZMIANIE?”

Zanim autor tej publikacji odpowie na po-stawione w tytule pytanie, przeprowadza a-nalizę polskiej i anglosaskiej publicystyki na tematy związane z zagadnieniem sowieckim. W metodzie rozbioru tematu widać wyraźnie wpływ szkoły politycznej Dmowskiego. Autor jak najbardziej słusznie podkreśla zagadnie-nie odpowiedzialności moralnej w sprawach publicznych, na co zawsze taki nacisk kładł Dmowski. Zdanie dr. Stahla o upadku praw-dziwej publicystyki i rozplenieniu się rodza-ju piśmiennictwa, które „używa najczęściej formy esaju albo felietonu, a przy pozorach apolityczności porusza tematy polityczne”,

zasługuje na zapamiętanie. „Specjalizują się w tym zwykłe — mówi dr Stahl — zawiedzeni literaci, ludzie pióra, którym brak rzetelne-go talentu unicemożliwia pisanie poezji czy powieści, ale za to brak poczucia odpowie-dzialności pozwala na pisanie o polityce.”

Równie kapitalny jest rozdział o nieule-czalnych złudzeniach publicystyki i polityki angielskiej (i trzeba dodać także amerykań-skiej) w sprawach komunistyczno-sowieckich.

Może nieco zbyt wiele miejsca poświęca autor polemikom z Hrabymkiem i Mieroszew-skim. Czy warto było się tyle nimi zajmować? Co prawda dr Stahl pisał swe myśli do pisma tygodniowego, poświęcając każdy rozdział in-nemu aspektowi sprawy, przez co nie wszyst-kie zagażenia potraktowane zostały równo-miennie.

Autor silnie podkreśla, że wszelkie próby zasypania przepaści między reżymem komu-nistycznym, a polityczną emigracją polega-ją na psychologicznych nadużyciach. Tak więc uświęcone w emigracyjnej publicystyce słowo „Kraj”, oznaczające naród w przeci-wieństwie do komunistycznej okupacji, uży-wane jest teraz często w zupełnie przeciwnym znaczeniu, co stawia nie istniejący znak rów-nania między reżymem a społeczeństwem. Dr Stahl pisząc przed „wyborami” nie mógł tu wskazać na najbardziej istotny dowód po-wszecznej niechęci społeczeństwa do reżymu: skreślenia kandydatów komunistycznych z pierwszych miejsc, choćby według sowieckich zwyczajów imiona ich otaczano „patriotycz-ną” legendą, a portrety noszono na wszyst-kich pochodach. Podkładanie pod słowa fał-szywej treści, zjawisko nie nowe w komu-nizmie, jest w tej chwili bardziej groźne niż kiedykolwiek, gdyż sytuacja polska jest wy-jątkowa, a dalszy rozwój wydarzeń zależy w dużej mierze od zrozumienia przez naród w Polsce i przez emigrację za granicą swej roli historycznej.

Póki dr Stahl ustosunkowuje się całkowicie negatywnie i nieufnie do komunistycznych „odwilży” i przeobrażeń, póty jego pesymizm wydaje się całkowicie uzasadniony. Gdy jed-nak przechodzi do wyciągania z tego wnios-ków na przyszłość, wykazuje jakby pewne niedocenianie sił psychicznych narodu. Jak wykazały ostatnie kilkanaście lat, są one bardzo wielkie i tylko muszą być rozumnie zorganizowane, abyśmy mogli osiągnąć lepszą przyszłość narodu. Do tego potrzeba wspólnej pracy wszystkich Polaków, w Kraju i na emigracji. Zgadząmy się z autorem, iż zada-nia emigracji, jakkolwiek sytuacja w Polsce się zmieniła, nie tylko nie są mniejsze niż były, lecz przeciwnie — są teraz dużo więk-sze. Podział na „Kraj” i „Emigrację”, słuszny pod wielu względami, nie może być po-działem psychicznym w wielkiej wojnie o dusze polskie. Kościół w Polsce kładzie pod-waliny moralne pod przyszłość narodu. Do polityków należy sformułowanie zadań i, co ważne, wprowadzenie ich w życie. Na oficjal-nej powierzchni życia w Polsce trwa wciąż komunizm z niewielkimi zmianami perso-nalnymi. Pod powierzchnią, której nie prze-bija wzrok przypadkowego obserwatora, tę-tni utajony rytm życia narodu, którego nie zdołały zabić ani 125 lat trwające rządy za-borców, ani 17 już lat ciągnące się okupacje niemiecko-komunistyczne.

Publikacja dr. Stahla nie jest wyczerpują-cą pracą, nie obejmuje w całości tematu. Jest jednak bardzo pożyteczną jako trzeźwy głos krytyczny w momencie silnego zakrętu, na którym słabsze jednostki doznają łatwo za-wrotu głowy.

J. Pi.

*) Dr Z. Stahl CZY ZADANIA EMIGRACJI ULEGŁY ZMIANIE?, Gryf, Londyn 1957.

SCALA THEATRE

W LONDYNIE

Od 6 do 23 czerwca 1957

WYSTĄPI GOŚCINNIE PAŃSTWOWY

TEATR POLSKI z WARSZAWY

pod dyr. Arnolda SZYFMANA

REPERTUAR:

„MĄŻ I ŻONA” — Al. hr. Fredry
z JANINĄ ROMANÓWNĄ

„DOM KOBIET” — Z. Nałkowskiej
z MIECZYSLAWĄ CWIKLIŃSKĄ

Bilety w cenie od 4.6 do 17/6 rezerwować można: Teatr Scala (MUS 5731), Księgarnia Kombatancka, 18 Queens Gate Terrace, S.W.7. (KNI 0266) oraz we wszystkich agencjach teatralnych.

LUDZIE I ZDARZENIA

Herman Koppel napisał m. in. muzykę do słynnych Psalmów Dawidowych. Kompozycje jego, w wykonaniu pierwszorzędnych chórów i solistów niemieckich zostały ostatnio nagrane na płycie. Pewne nieporozumienie powstało jednak „przy kasie”: firma, która Psalmi nagrywała, przewidziała w umowie, że — zgodnie z przyjętym obyczajem — 2/3 honorariów przypada kompozytorowi, 1/3 zaś autorowi tekstu — p. Dawidowi.

Uczniowie sowietcy ogłosili oficjalnie, że udało im się odkryć z y w e g o trytona z epoki poprzedzającej potop. Zwierzę to zostało znalezione w czasie poszukiwań geologicznych na Syberii, było ono głęboko zakopane w zmarzłej ziemi. Pod wpływem promieni słonecznych tryton podniósł głowę — jak twierdzą sowietcy specjaliści — po kilku tysiącach lat hibernacji.

Leon Bianco, francuski pilot, który w dniu 15 maja pobił światowy rekord długości lotu „na plecach” (1 godz. i 15 min.), stał się przy tej okazji nieublaganym wrogiem owadów. Wysia-

dając ze swego samolotu na lotnisku pod Pontois oświadczył on dziennikarzom, że mógłby jeszcze znacznie dłużej latać głową na dół, gdyby nie wielka mucha, która zamknięta wraz z nim w hermetycznej kabine, brzęczała mu koło twarzy doprowadzając go do szwajcarskiej pasji.

Zakonnice drukują. Siedem sióstr, założonego przez matkę Ledóchowską zgromadzenia św. Piotra Klawera, urządziło w miejscowości Kisubi w Ugandzie własne zakłady drukarsko-wydawnicze. Zakonnice te przeszły poprzednio gruntowne przeszkolenie w zasadniczych dziedzinach sztuki drukarskiej i dziś same obsługują swe maszyny, począwszy od linotypów (nasze zdjęcie) aż po introligatornię. Ten pierwszy na terenie Afryki misyjny ośrodek wydawniczy drukuje przede wszystkim podręczniki dla szkół katolickich oraz książki dla dzieci. Dzielne zakonnice podjęły równocześnie prace uczenia specjalności drukarskich, z których arkanami zapoznają chętnych kandydatów wybranych spośród miejscowej czarnej ludności.



Brooks Mandell, nowojorski specjalista w dziedzinie psychologii, przedsięwziął światową „krucjatę” przeciwko paraliżowi dziecięcemu, połączoną z akcją na rzecz ofiar tej niezwalczanej dotąd choroby. Dr Mandell zamierza spędzić 12 najbliższych miesięcy w różnych krajach Europy, którym — zdaniem lekarzy — grozi tego lata lokalne zwiększenie ilości wypadków Heine-Medina. Zaczawszy swój objazd od Rzymu, amerykański doktor potrafił pozyskać dla swej akcji propagandowej pełen wdzięku udział wschodzącej gwiazdy filmu włoskiego, Elzy Martinelli (na fotografii).

Narodowy Teatr Słoweński z Lublany bawi od paru tygodni w Polsce. Występował on najpierw na scenie Teatru Łódzkiego, a następnie — Teatru Żydowskiego w Warszawie, wystawiając sztukę słoweńskiego pisarza Cenkar Iwana pt. „Nauzyciel Jerzman”, nową sztukę A. Millera „Spojrzenie z mostu” (graną ostatniej zimy w Londynie) oraz dwie komedie Molliera. Przy okazji dowiadujemy się z prasy warszawskiej, że Słowenia licząca półtora miliona mieszkańców posiada 7 własnych teatrów dramatycznych i 2 opery. Narodowy Teatr Słoweński ma w swym repertuarze wiele sztuk polskich, m. in. Nie-

wiarowicza, Nałkowskiej, Perzyńskiego, Przybyszewskiego, Rittnera i Zapolskiej.

Frantz Kafka, zmarły przed laty „poeta absurdu”, którego imienia nie wolno było do niedawna nawet wymieniać w krajach demokracji ludowej, został ostatnio zupełnie „zrehabilitowany” nota bene w wiernej wciąż pamięci „Stoneczka” Pradze. Czasopismo „Nowy Život”, organ Związku Pisarzy Czeskich, poświęciło mu 25-stronicowy artykuł ozdobiony fotografiami autora „Procesu” i „Zamku”. A w ogóle coś się zmienia, również nad Wełtawą: tygodnik literacki „Nowiny” przedrukował w tych dniach treść ankiety rozpisanej przez paryskie „Arts”. Wynika z niej, że młodzież Francji nie czyta „do poduszki” dzieł Marksa, Thoreza czy nawet Aragona, a przeciwnie, że ulubionymi jej autorami są Hemingway, Dostojewski i Malraux. Inne poświęcone kulturze pisma czeskie pełne są zapomnianych w tym kraju nazwisk, jak Apollinaire, Rimbaud, Heideger, Claudel; w teatrach praskich można w tych dniach oglądać sztuki Oskara Wilde’a, Shawa i Anouilha („Alouette”). Rekord pobiło jednak miasto Brno, gdzie rozpoczęła się na łamach prasy kurtuazyjna dyskusja z... Kostlerem.

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie
urządza we wtorek 4 czerwca br. o godz. 7.30
w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego,
20 Princes Gate, London, S. W. 7.

wieczór autorski

BOGDANA CZAYKOWSKIEGO

Szkic o poezji B. Czajkowskiego wygłosi Józef Jaksziński. Wiersze odczyta Tola Korian. Przewodniczyć będzie Tadeusz Sułkowski.

